

TOM I · CZĘŚĆ I
SŁODKICH SNÓW

COMA

MIMI
LISETTE



The image features a white background with decorative botanical illustrations in the corners. In the top-left and bottom-left corners, there are clusters of succulent-like plants with thick, pointed leaves. In the top-right and bottom-right corners, there are palm fronds and clusters of similar succulent plants. The text is centered on the page.

SŁODKICH SNÓW

MIMI
LISETTE

Copyright © Mimi Lisette
Copyright © Wydawnictwo Iskra

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Wydanie 1, Wrocław 2025

REDAKCJA MERYTORYCZNA: Weronika Ancerowicz
PROJEKT OKŁADKI: Agnieszka Zawadka

REALIZACJA PROCESU WYDAWNICZEGO: AT ONCE
KOORDYNACJA PROJEKTU: Ewa Ankiersztein
REDAKCJA JĘZYKOWA: Katarzyna Myszkorowska
KOREKTA: Aleksandra Kalinowska
SKŁAD I ŁAMANIE: Tomasz Smółka

DRUK I OPRAWA: Abedik S.A.

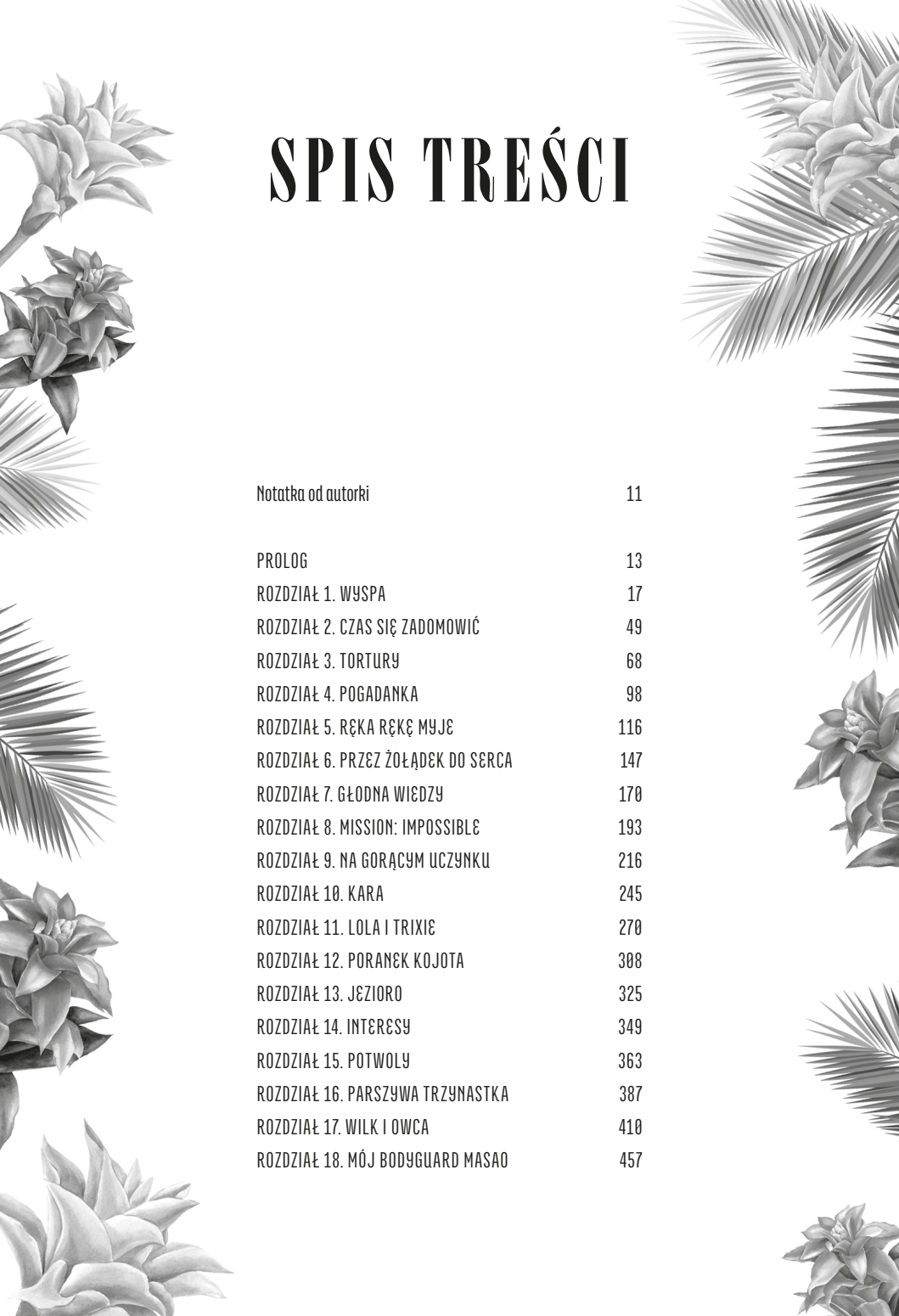
www.wydawnictwoiskra.pl
ISBN: 978-83-972633-6-9

TOM I · CZĘŚĆ I
SŁODKICH SNÓW

COMA

MIMI
LISETTE

 WYDAWNICTWO
ISKRA



SPIIS TREŚCI

Notatka od autorki	11
PROLOG	13
ROZDZIAŁ 1. WYSPA	17
ROZDZIAŁ 2. CZAS SIĘ ZADOMOWIĆ	49
ROZDZIAŁ 3. TORTURY	68
ROZDZIAŁ 4. POGADANKA	98
ROZDZIAŁ 5. RĘKA RĘKĘ MYJĘ	116
ROZDZIAŁ 6. PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA	147
ROZDZIAŁ 7. GŁODNA WIEDZY	170
ROZDZIAŁ 8. MISSION: IMPOSSIBLE	193
ROZDZIAŁ 9. NA GORĄCYM UCZYNKU	216
ROZDZIAŁ 10. KARA	245
ROZDZIAŁ 11. LOLA I TRIXIE	270
ROZDZIAŁ 12. PORANEK KOJOTA	308
ROZDZIAŁ 13. JEŻIORO	325
ROZDZIAŁ 14. INTERESY	349
ROZDZIAŁ 15. POTWOŁY	363
ROZDZIAŁ 16. PARSZYWA TRZYNASTKA	387
ROZDZIAŁ 17. WILK I OWCA	410
ROZDZIAŁ 18. MÓJ BODYGUARD MASAO	457

ROZDZIAŁ 19. TRZY ŻYCZENIA	482
ROZDZIAŁ 20. KARATE KID	505
ROZDZIAŁ 21. OSIEM MINUT PRAWDY	524
ROZDZIAŁ 22. WIZYTA W RZEŹNI	548
ROZDZIAŁ 23. POŻEGNANIE	586
ROZDZIAŁ 24. WIELKA UCIĘCZKA	611
ROZDZIAŁ 25. MYSZ	631
ROZDZIAŁ 26. SALA TORTUR	656
ROZDZIAŁ 27. OPERACJA BZYK-ANKO	684
ROZDZIAŁ 28. SZANTAŻ	711
ROZDZIAŁ 29. IMPREZA U GANDZIALFA	734
 Podziękowania	 769



*W snach nie czuje się bólu; człowiek zawsze się budzi,
zanim zacznie się prawdziwe cierpienie.*

Stephen King



*Dla wszystkich, którzy po drodze
zgubili gdzieś swój uśmiech*



NOTATKA OD AUTORKI

Comę napisałam 15 lat temu, czyli w 2010 roku, i to właśnie wtedy toczy się akcja tej historii. Nie zmienialiśmy czasu ani nie unowocześnialiśmy elementów świata, dlatego nie zdziwicie się, jeśli natraficie na przedpotopowe sprzęty w stylu telefonu z klapką. To zabieg celowy.

W *Comie* – świecie, do którego trafia główna bohaterka – wszyscy mówią jednym językiem. Ze względów estetycznych teksty piosenek oraz niektóre pseudonimy zapisano jednak po angielsku.

W treści pojawiają się liczne przekleństwa, przemoc werbalna i fizyczna, podteksty seksualne oraz szkodliwe stereotypy, a całość okraszona jest mocnym, ciętym humorem. Lektura książki zalecana jest więc osobom powyżej osiemnastego roku życia.



PROLOG

Olbrzymie ptaki o piórach jak płynny błękit nieba przechodziły się leniwie wzdłuż brzegu jeziora, którego wody wydawały się nieskończenie głębokie, jakby ukrywały tajemnicę wszystkich światów. Mężczyzna siedział na ciepłym, piaszczystym brzegu. Jego twarz była napięta, wzrok wbity w dal – próbował zrozumieć, co właściwie się wydarzyło. Myśli kłębiły się w jego głowie jak burzowe chmury, a emocje szarpały nim niczym gwałtowny wiatr smagający korony palm otaczających jezioro.

Przed nim stał człowiek o łagodnych, szarych oczach – spojrzeniu, które zdawało się przenikać duszę. Był tam od początku, czekał, kiedy mężczyzna wynurzył się z wody, nagi i bezbronny jak nowo narodzone dziecko.

– Gdzie ja jestem? – zapytał, zaciskając pięści, jego głos ociekał gniewem i bezradnością.

– W krainie naszego boga – odparł spokojnie starszy człowiek w białych szatach.

– W raju? – dopytał z wahaniem, ale też cieniem nadziei i strachu w głosie.

– Nie. To zupełnie inne miejsce – stwierdził przewodnik, z twarzą tak spokojną jak tafla jeziora przed burzą. – Nie denerwuj się. To normalne, że nie pamiętasz.

– Nic a nic! – wybuchnął. – Kim, do cholery, jestem?

– A kim chciałbyś być?

Pytanie zawisło w powietrzu, przeszywając jego duszę. Spojrzał na swoje dłonie, czując, jak narasta w nim gniew.

– Umarłem? – spytał ostro, bardziej siebie niż przewodnika. – Jestem pieprzonym trupem?

– Możesz żyć wiecznie – padła odpowiedź.

Otoczenie zdawało się odpowiadać na każde słowo – śpiew ptaków, zapach słodkich kwiatów, ciepłe promienie słońca. To miejsce było jak raj. Ale coś w nim sprzeciwiało się tej harmonii. Mimo ogromu piękna, które go otaczało, nie potrafił zwalczyć narastającej w nim złości. Po pierwsze nie wiedział, kim jest i gdzie się znajduje, po drugie siedział nagi z jakimś idiotą w białych szmatach, który prawił mu o wiecznym życiu. Gniew go nie opuścił, przeciwnie, zdawał się od zawsze być jego częścią.

– Kim ty jesteś? – zapytał, wbijając spojrzenie w oczy nieznanego.

– Jestem twoim nauczycielem i przewodnikiem. Odpowiem na wszystkie twoje pytania, pokażę ci to miejsce. A gdy nadejdzie czas, wybierzesz, czy chcesz zostać czy odejść. Brama stoi przed tobą otworem.

Przewodnik był cierpliwy. Dni zamieniały się w tygodnie, podczas których mężczyzna chłonał wiedzę, jakby była tlenem. Pytał, dociekał, nieustannie żądał odpowiedzi. Zamiast jednak zaspokoić jego ciekawość, nowe informacje wywoływały kolejne pytania. Przewodnik otwierał przed nim drzwi, których istnienia inni przybysze nawet nie dostrzegali. Święte

księgi, tajemnice, historie – wszystko, czym mógł się podzielić, ofiarowywał z pokorą.

Mężczyzna był jednak inny, a jego gorliwość podszyta czymś mrocznym – nie tylko żądzą wiedzy, ale także ambicją. W jego oczach pojawiał się błysk niecierpliwości, a niekiedy złości. Owszem, czasami wydawał się nazbyt chciwy, nazbyt porywczy, ale jego gorliwość i zamięłowanie do historii łągo-dziły złe wrażenie, dlatego przewodnik, choć ostrożny, nadal widział w nim potencjał.

Pamięć o utraconym życiu odzyskiwał zaskakująco szybko. Wraz z powrotem wspomnień nastał dzień, kiedy przewodnik postawił przed nim ostatnie pytanie:

– Chcesz zostać czy wrócić?

Wybór... każdy go miał.

Spojrzał na swego przewodnika z wyrazem, który przypominał triumf. Odpowiedź znał od pierwszego dnia, od chwili, gdy tylko wyszedł z jeziora. Wspomnienia poprzedniego życia tylko utwierdziły go w przekonaniu, że nie warto wracać. Zresztą do kogo? Do tych kilku nieznosnych gąb do wykarmienia? Tutaj poznał cudowną kobietę. Miał swoje plany względem niej i tego miejsca. Był ambitny i pełen pomysłów.

– Zostanę. Sprawię, że ten świat stanie się lepszy.

Przewodnik cofnął się, pierwszy raz poczuł ukłucie strachu.

– Lepszy? Co masz na myśli? Nie wolno ci użyć tej wiedzy do... – urwał, z niedowierzaniem patrząc na ostrze, na krew...

Ręce mężczyzny, które jeszcze niedawno zaciskały się w gniewie, teraz trzymały narzędzie zniszczenia. W martwych oczach przewodnika odbiło się oblicze jego ucznia: spokojne, uśmiechnięte, zadowolone.

– Jeśli to nie jest raj, to ja go tutaj stworzę – powiedział, odrzucając ciało przewodnika na piasek niczym zbędny rekwizyt.

Odwrócił się i spojrzał na jezioro. Świat, który się przed nim rozpościerał, był piękny. Był też jego. To miejsce nie znało jeszcze gniewu, władzy ani ambicji. Ale pozna. Z ukochaną u boku czuł, że to życie będzie lepsze od poprzedniego, że żadna siła nie zdoła go powstrzymać. Ten świat miał stać się miejscem, w którym to on rozdaje karty, gdzie nikt mu się nie sprzeciwi.



ROZDZIAŁ 1

WYSPA

Otworzyłam oczy. Było źle. Bardzo, bardzo źle.

Miotając się i rzucając we wszystkich możliwych kierunkach, spanikowana próbowałam zrobić głęboki wdech, lecz zamiast życiodajnego tlenu do moich ust dostała się zimna woda. Płuca płonęły, a w mojej głowie rozbrzmiewał ogłuszający krzyk przerażenia.

Dusiłam się.

Zerknęłam w górę, ku jasnemu światłu i uciekającym pęcherzykom powietrza. Zmusiłam zdrętwiałe kończyny do kilku rozpaczliwych ruchów, dzięki którym krztusząc się i plując, wynurzyłam się na powierzchnię. Zamrugałam, by przyzwyczaić oczy do oślepiającej jasności, jednak ostre światło słońca kąsało bezlitośnie, zmuszając mnie do zmruczenia powiek. Otarłam ręką mokrą twarz. Starałam się zachować względny spokój, ale zakłócił go huk nieoczekiwanych wystrzałów. Głośna seria wyrzucona z karabinu maszynowego poniosła się po okolicy.

Moje serce przyspieszyło do galopu, instynkt przejął kontrolę. Zanurkowałam i przepłynęłam kawałek, ale dotarło do mnie, że jestem zupełnie naga. Zajebiście, zważywszy, że tlen skończył się szybciej, niż przypuszczałam. Wystraszona,

wkurzona i z kurczącymi się zasobami wstrzymywanego w płucach powietrza, wysunęłam głowę ponad powierzchnię wody.

– Hej, ty! Wyjdź na brzeg!

Wolno przesunęłam wzrokiem wzdłuż piaszczystej plaży po lewej aż ku wysokim, surowym klifom po prawej stronie. Dostrzegłam kogoś na skale, najpewniej mężczyznę, który do mnie krzyczał. Słońce znajdowało się za jego plecami, więc nie byłam w stanie dostrzec twarzy nieznajomego ani tym bardziej tego, co wyrażała.

– Nie mogę! – odkrzyknęłam. – Jestem goła!

Czyżby się ze mnie śmiał? Tak. Wyraźnie docierał do mnie jego ciężki, groźny śmiech, który niósł się echem po okolicy. Facet miał doprawdy chore poczucie humoru.

– Mam broń, a ty ze mną dyskutujesz?! – wrzasnął, przywołując mnie do porządku. – Wychodź natychmiast albo zostaniesz tam na wieczność!

W wolnym tłumaczeniu znaczyło to chyba tyle, że jeśli go nie posłucham, wpakuje mi kulkę w łeb i stanę się karmą dla rybek. Co jak co, ale na to nie miałam ochoty. Tak samo jak na paradowanie przed nim w stroju Ewy. Przemknęło mi przez myśl, że mogłabym zanurkować głęboko i odpłynąć gdzieś dalej, by ukryć się przed jego wzrokiem.

– Nie ma mowy! – krzyknęłam, zdeterminowana zrobić to, co przed chwilą przyszło mi do głowy.

– Kobiety! – warknął z wyraźną pogardą w głosie.

Pięknie, rajska plaża, a mnie się trafił pieprzony szowinista. *Gdzie ja, do cholery, jestem? Co się właściwie stało?* Miałam totalny mętlik w głowie.

Zmrużyłam oczy, by dokładniej przyjrzeć się temu miejscu, i zobaczyłam, jak nieznajomy odkłada broń, ściągając z siebie

koszulę, zwija ją w kulkę i rzuca w moim kierunku. *Może jednak będą z niego ludzie.*

– Załóż to, a później wyjdź z rękoma na głowie i podejdź do najbliższego drzewa!

Dopłynęłam do białego kawałka materiału, który leniwie dryfował na powierzchni jeziora, a potem niezdarnie, w pośpiechu narzuciłam go na siebie, usiłując przy tym nie zanurzyć głowy z powrotem w zimnej toni. Dopiero gdy zapięłam guziki, rozejrzałam się w poszukiwaniu brzegu, na który nie musiałabym wspinać się jak dzikie zwierzę.

Po chwili poczułam dno pod stopami. Wysłałam na brzeg naciągając w dół przylepiającą się do ciała długą, białą koszulę, która i tak nie zasłaniała moich krągłości. Z rękoma uniesionymi do góry skierowałam się w stronę drzewa.

Nie miałam pojęcia, kim był mężczyzna, który do mnie mierzył. Widziałam tylko jego profil. Włosy skrywała czapka z daszkiem, a oczy – ciemne okulary. Podążając wzrokiem w dół, natrafiłam na opaloną, zroszoną potem skórę, idealne ramiona, rozbudowaną klatkę piersiową i napinające się mięśnie brzucha.

– Nogi szeroko – rozkazał głębokim, beznamietnym głosem.

Wykonałam polecenie, równocześnie zastanawiając się, po co chce mnie przeszukiwać. Przecież nie byłabym w stanie niczego ukryć, zwłaszcza broni. Nie kiedy nagusienka topiłam się w jeziorze.

– Słuchaj, nie sądzę...

– Nikt nie pytał cię o zdanie – warknął, ucinając wszelkie próby dyskusji, po czym dla lepszego efektu dość brutalnie pchnął mnie na pień drzewa.

Oparłam się dłońmi o szorstką korę, ratując się tym samym przed czołowym zderzeniem i złamaniem nosa. Facet

przewiesił sobie broń przez ramię, a jego ciepłe palce spoczęły na moich plecach, prześlizgnęły się w dół, powędrowały do brzucha, po czym – ku mojej wielkiej rozpaczycy – w górę i zatrzymały się pod biustem, gdzie jego dłonie z pewnością wyczuły dziko galopujące serce. Chryste, to było upokarzające.

– Jesteś czysta – oznajmił, jakby nie wiedział tego wcześniej.

– Świetnie, może mi zatem powiesz, gdzie jesteśmy i...? – Urwałam, bo twarda lufa karabinu wbiła się w moje plecy, wyraźnie sugerując, że mam się zamknąć.

– Idź i nie oglądaj się za siebie.

Posłusznie szłam wydeptaną ścieżką między gęsto rosnącymi wysokimi drzewami, wodząc wzrokiem po grubych pniach i rozłożystych koronach, przez które z uporem przeźierało się kilka promieni słonecznych. Spojrzałam pod swoje stopy. Drgające jasne punkciki to tu, to tam oświeślały leśną ściółkę. Wyglądało na to, że znalazłam się w dziczy z wielkim dzikusiem za plecami. Pytanie za milion – w co ja się wpakowałam? Miałam jedynie nadzieję, że facet nie zrobi mi krzywdy. Gdyby chciał mnie zabić, już pewnie bym nie żyła. To spostrzeżenie tylko w nieznacznym stopniu ukoiliło moje skołatane nerwy, bo wciąż czułam niepokój. W końcu nie wiedziałam, gdzie jestem, jak znalazłam się w tym jeziorze, dokąd mnie prowadzi dzikus i czy znajdę tam... No właśnie. Kogo? Dopadło mnie irracjonalne przeczucie, że muszę coś zrobić, tylko zapomniałam co. Puls dziwnie mi przyspieszył, a resztki upragnionego spokoju odeszły w niepamięć, podobnie jak cała reszta wspomnień. Próbowалам sobie przypomnieć cokolwiek, ale w mojej głowie była tylko czarna dziura.

Facet milczał, od czasu do czasu, popychając mnie karabinem, dając mi do zrozumienia, że się ociągam. *Tak trudno,*

cholera, pojąć, że spacer boso nie jest przyjemny, zwłaszcza kiedy w stopy co chwilę coś się wbija? Dzikus i w dodatku bezduszny.

Po niespełna półgodzinnym marszu wyszliśmy z gęstej dżungli. Moim oczom ukazał się rajski widok. Na niewielkim wzgórzu, niczym z bajki, rozciągała się wstęga maleńkich, białych domków – takich, jakie można znaleźć w... Cholera, widziałam już coś takiego, ale pamięć znowu mnie zawiodła. W oddali dostrzegłam kilkoro ludzi kręcących się pomiędzy budynkami, a bardziej na prawo, u podnóża tej góry, znajdowała się grupa brzydkich, betonowych kłoców, wyraźnie odcinająca się od reszty niczym wielki komin przemysłowy na tle tropikalnego lasu. Budynki te otaczał solidny płot z drutem kolczastym i dałabym sobie rękę uciąć, że był pod napięciem. Na dużym, piaszczystym placu stały wojskowe dżipy i ciężarówki. *Chwila... wojskowe?*

Nieznajomy po raz kolejny szturchnął mnie lufą karabinu, informując w tym swoim prymitywnym języku, że mam się nie gapić. *Palant.*

Doszliśmy do blaszanej budki strażnika, który całkiem mokry od potu wyłonił się z tego rozgrzanego do czerwoności piekarnika.

– No, kapitanie, ale ci się trafiło. – Zagwizdał, taksując mnie wzrokiem i przecierając czoło jakąś brudną szmatą.

– Zamknij się, Dwight – warknął ten za mną i wbił mi karabin w plecy.

Boże, co za niesympatyczny typ. Zero kultury.

Posłusznie szłam przed siebie, ukradkiem lustrując teren. Najwyraźniej znalazłam się w jakiejś jednostce wojskowej, a to nie wiedzieć czemu, wzbudzało we mnie pozytywne odczucia.

– To już czwarty śpioch! – krzyknął za nami chłopak z budki.

Śpioch? O czym on mówił? O mnie? Chciałam zapytać, ale pomyślałam, że rozsądniej będzie, jeśli wstrzymam się z zadawaniem pytań, aż natrafię na jakąś bardziej przyjazną duszę.

Kierowaliśmy się do metalowych drzwi, pilnie strzeżonych przez dwóch wojskowych w czarnych bojówkach, ciężkich buciorach i białych koszulach. Byli uzbrojeni dosłownie po zęby. Karabiny w rękach, pistolety w kaburach, krótkofalówki przy pasach, a na udach przyłączone noże. Nie powiem, żdziebko mnie to przeraziło. Znow zaczęłam się zastanawiać, w jakie gówno się wpakowałam.

Młody chłopak wbił odpowiedni kod w czarnej puszcze i wrota się otworzyły. Weszliśmy do środka, gdzie powitał mnie chłód długiego korytarza. Jedyne źródło światła stanowiło kilka osłoniętych kratami lamp, nadających pomieszczeniu odcień intensywnej czerwieni. Podczas spaceru moje oczy z wolna przyzwyczajały się do burdelowego półmroku. Zanim dotarliśmy do celu, minęliśmy jeszcze kilku uzbrojonych żołnierzy i trzy pary pilnie strzeżonych, przeszlonych drzwi. Kilku ludzi przemaszerowało przede mną z bronią w rękach i całym zapasem granatów, a jeszcze inni pchali wózki z dziwnym sprzętem, jakiego chyba jeszcze nigdy nie widziałam.

– Wejść tam – polecił kapitan, jak wywnioskowałam z rozmowy przy stróżówce, po czym pchnął mnie na ciężkie, metalowe, zapewne cholernie pancerne drzwi.

Delikatności i dobrych manier to ten szowinistyczny palant miał w sobie tyle, co ja pojęcia o broni. Czyli wcale. Zwykły gbur i prostak, któremu słoma wyłaziła z butów.

Lekko zniesmaczona weszłam do pomieszczenia, w którym oprócz mnie znajdowały się jeszcze trzy inne osoby. Szkopuł w tym, że były nagie. Dwie kobiety i facet z potężną erekcją. O cholera, nie żebym miała coś przeciwko, ale na Boga,

okoliczności temu towarzyszące powinny być nieco inne. Tak przynajmniej podpowiadała mi intuicja. Pocieszające, że koleś też nie wyglądał, jakby czuł się w tej sytuacji komfortowo.

Spróbowałam skupić się na czymś innym, dlatego rozejrzałam się po pomieszczeniu. Tworzyły je trzy puste, szare ściany oraz czwarta, którą na całej szerokości i wysokości zajmowało lustro. O w dupę, jak nic weneckie. Spuściłam głowę, wbijając wzrok w moje brudne stopy. Nieco straciłam na pewności siebie. Byłam oszołomiona, zagubiona, lekko wystraszona i cholernie wkurzona.

– Hej – szepnęłam w nadziei, że zagaję jakąś krótką rozmowę z kobietą stojącą obok. – Wiesz, gdzie jesteśmy i co tu robimy?

Nieznacznie odwróciła głowę w moją stronę. Trzęsła się jak osika i ogólnie sprawiała wrażenie osoby przerażonej.

Po chwili, która dla mnie ciągnęła się w nieskończoność, drzwi otworzyły się z łoskotem i do środka wtoczył się metalowy wózek pchany przez przysadzistą kobietę w białym fartuchu. Teraz złękłam się na poważnie. Widok groźnie wyglądającego sprzętu oraz srogiej miny cycatej, potężnej blondyny sprawił mnie o szybsze bicie serca. Przełknęłam głośno ślinę.

– Ty. – Jej głos, gdy zwróciła się do mężczyzny, zagrział niczym ryk lwa. – Podejdź tu.

Wydawał się nieco przestraszony. Tęgie babisko przesunęło po ciele faceta dziwną słuchawką, którą z ustrojstwem pełnym kolorowych przycisków łączył gruby, poskręcany kabel. Maszyna leżąca na stoliku zapiszczała i zaczęła wypluwać z siebie wydruk.

– Czerwony – mruknęła blondyna bardziej do siebie.

Oderwała kartkę, coś na niej zapisała, po czym zabrała się za dokładne oglądanie swojego obiektu. Jego nieustająca

erekcja w ogóle jej nie przeszkadzała. Nie doszukawszy się niczego podejrzanego, odesłała faceta na miejsce. Dokładnie tę samą procedurę zastosowała w przypadku obu kobiet i tutaj wydruk również wskazał coś czerwonego.

W końcu przyszła moja kolej. Tym razem wydruk zabarwił się na niebiesko.

– Farmakologiczna – mruknęła z lekką pogardą w głosie. – Rozbieraj się.

Naprawdę bardzo, bardzo, ale to bardzo nie chciałam tego robić. Może mogłabym trochę ponegocjować?

– Głucha jesteś? Mam ci przeczyścić uszy?

Nie wątpiłam, że babsko mogłoby mi nie tylko przeczyścić uszy, ale także pogruchotać wszystkie kości, a potem przepuścić resztki przez wyżymaczkę albo inny wymyślny sprzęt.

Rozpięłam guziki i koszula wylądowała na ziemi. Starałam się skoncentrować na babce, która przyglądała się bacznie każdemu pieprzonemu milimetrowi mojego ciała. Nagle utkwiała wzrok pod moją lewą piersią, a jej oczy zrobiły się przeogromne. W odbiciu lustra dostrzegłam w tym miejscu tatuaż. *Okeeej*. Nie wyglądał aż tak szkaradnie, właściwie był nawet ładny: coś jak odwrócona choinka z łzą na górze.

Wielka baba przyglądała się rysunkowi uważnie, a ja stałam niewzruszona, modląc się, by skończyła jak najszybciej. Jeszcze raz przeskanowała mnie tą swoją słuchawką, przedłużając w ten sposób męki. Kolor jednak nic a nic się nie zmienił. Jak byk – niebieski. Kobieta odchrząknęła i spojrzała wymownie w kierunku lustra. *Mhm, coś jest ze mną nie tak*. Czy to tatuaż sprawił, że nagle zaczęto postrzegać mnie jak dwugłowe cielę? W pośpiechu zarzuciłam na siebie podarowaną koszulę.

Moje przypuszczenia co do tego, że jednak jestem dwugłowym cielakiem, potwierdziły się kilka minut później, kiedy

opuściłam salę i zaprowadzono mnie do innej. Nie było tu żadnych lusterek weneckich, okien, szafek czy biurka. Tylko ja i troje czekających na mnie ludzi. Siedzieli prosto na swoich krzesłach niczym banda ważniaków z kijami w tyłkach. Dwóch mężczyzn i kobieta. Ta ostatnia wyglądała jak modelka żywcem wyciągnięta z okładki żurnala. Podejrzywałam, że mogłabym spędzić tygodnie na dokładnym lustrowaniu jej ciała, a i tak nie znalazłabym żadnego, nawet najmniejszego mankamentu. Pełne usta, kocie oczy, mały nosek, burza gęstych blond włosów, skóra jędrna jak po liftingu. Wizerunku superbabki dopełniały jeszcze piekielnie długie nogi w krótkich szortach, założone jedna na drugą, oraz biust w rozmiarze D, a może nawet E.

Faceci? Co tu dużo mówić. Sto procent testosteronu. Szerokie bary, mocne szczęki porośnięte twardym zarostem, nosy jakby lekko poprzetręcane, silne dłonie o niezgrabnych palcach i blizny. Mniejsze lub większe, ale mieli ich mnóstwo, a widziałam tylko ich twarze oraz przedramiona. Resztę skrywały białe koszule, dokładnie takie same jak ta, którą miałam na sobie, oraz wojskowe spodnie i buty.

– Więc mamy tu przypadek niebieski z tatuażem? – odezwał się ten siedzący na prawo od modelki. – Ktoś mi powie, jakim, kurwa, cudem? Czy to w ogóle możliwe?

Jego krótko ostrzyżone, jasne włosy uwypuklały bezładnie kształt kwadratowej głowy.

– Cóż – stwierdziła kobieta tonem, jakby oznajmiała: „Houston, mamy problem”. – Sprawdziłam, w całej historii Comy taki przypadek nigdy nie miał miejsca.

– Ktoś poinformował już Trzynastu?

– Jeszcze nie – odparła blondyna, następnie zwróciła się do mnie: – Wiesz, gdzie jesteś?

– Nie. Nikt mi nie chciał niczego wyjaśnić. A więc co to za miejsce? – zapytałam bez namysłu, lecz zostałam zignorowana.

– Pamiętasz, jak masz na imię? – indagowała dalej.

– Nie pamiętam – odparłam, starając się nie okazać zderzenia.

– Co zrobimy z tym dzieckiem? – zastanawiał się drugi facet, ten w dłuższych, ciemnych włosach, opadających na skronie.

Zdaje się, że miał problemy ze wzrokiem. Może i straciłam pamięć, ale dzieckiem przestałam być parę lat temu. Mój biust nie był tak imponujący jak tej blond lali, bo plastikiem mnie nie karmiono, ale ładnie rysował się pod koszulą. Byłam w pełni dojrzałą kobietą.

– Kto ją znalazł? – spytała kobieta, ziewając.

Nawet z rozdziawioną paszczą nie przestawała ani na chwilę być nieskazitelnie piękna. To zaczynało się robić frustrujące.

– Chyba Ice ją przyprowadził – odpowiedział ten po mojej prawej.

Modelce momentalnie błysnęły oczy.

– Niech więc on się nią zajmie. To jego problem – zdecydował ten drugi. Pogmerał w kieszeni spodni, wydobył z niej komórkę. – Kapitanie Ice! – krzyknął do słuchawki. – Bierz dupę w troki i przyjdź tu natychmiast... Tak... Kaszana...

Minęła chwila i do środka wszedł Ice. Był to dokładnie ten sam czarujący facet, którego koszulę nosiłam. Modliłam się, żeby sobie o niej nie przypomnieli.

– Generale Fitz, przerwałeś mi właśnie spotkanie, więc zakładam, że to coś istotnego.

Powinnam się obrazić czy jak?

– Istotnego? Rozkaz to rozkaz, kapitanie. Masz go spełniać bez względu na to, co w danej chwili robisz. Wyrażam się jasno?

– Tak jest – odpowiedział Ice niedbale. – Co za kaszanę miałeś na myśli? – dopytał, nie doczekawszy się wyjaśnień.

Mhm, heloł, to ja, kaszana. Mogłam podskoczyć i pomachać do niego ręką, jednak nie wydawało się to najbystrzejszym pomysłem.

– Tym razem żaden z twoich ludzi nie wdał się w pijacką rozróbę – rzekł Fitz.

– Nie?

Facet był wyraźnie zdziwiony, a nawet zawiedziony.

– Nie. Chodzi o dziewczynę, którą przyprowadziłeś.

– Co z nią? – Wyprostował się nagle.

– Kod B1T – odezwała się kobieta.

– Kurwa, mów po ludzku – ofuknął ją Ice.

Tu się akurat zgadzaliśmy.

– Jest farmakologiczna i ma tatuaż – wytłumaczyła, robiąc przeproszającą minę.

Ale co to właściwie znaczy?

– Dziwne, owszem – przyznał – ale co ja mam z tym wspólnego? – Wsunął dłonie w kieszenie spodni, jakby chciał przez to jasno powiedzieć: „Umywam ręce”.

– Ty ją znalazłeś, kapitanie, więc ty się nią zajmiesz. Trafi do twojego oddziału, pod twoje dowództwo. – Kobieta skinęła na mnie głową.

Ta góra opalonych, nadal nagich mięśni odwróciła się w moim kierunku, jakby pan wkurzony dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w ogóle tu jestem. Twarz zniekształcona grymasem gniewu wydała mi się przerażająca. Jego ciemne okulary z pewnością uchroniły mnie przed morderczym spojrzeniem.

– Chyba sobie jaja robicie. – Nagle jego dłonie zacisnęły się w pięści i uderzył z mocą w ścianę, czyniąc w niej sporych

rozmiarów pęknięcie. – Dowodzę grupą dziwkarzy, moczymord, outsiderów, popaprańców i najlepszych żołnierzy, jacy kiedykolwiek stąpali po tej ziemi, a wy mi chcecie wpakować w to wszystko tego dzieciaka?!

– Tak – odpowiedział Fitz, uśmiechając się przebiegle. – Pragnę zauważyć, że masz w oddziale Drzazgę.

– Gówno! Gdybym jej kazał sprać po mordzie któregoś z generałów, zrobiłaby to bez mrugnienia okiem!

– Tak. Widać, ta dupa jest na każde twoje skinienie – rzekł aluzyjnie. – A ty prosisz się o karę dyscyplinarną.

– Ta dupa jest też cholernie dobrym żołnierzem, jednym z lepszych w Comie. Nie zapominaj o tym, generale. Poza tym – Ice wycelował w niego palcem – potrzebujecie mnie i mojego oddziału. – Teraz wskazał na mnie. – A to... To jest, kurwa, gwóźdź do mojej trumny! Jak nic rozpiardoli mi cały zespół.

– Więc twoja w tym głowa, żeby tego nie zrobiła, skoro tak bardzo was potrzebujemy.

Fitz musiał cholernie nie lubić Ice'a. Podejrzewam nawet dlaczego. Po pierwsze mój przyszły, jeszcze niedoszły kapitan dowodził, jak sam twierdził, najlepszym oddziałem, a po drugie był przystojny (nie sądzę, by okulary skrywały zęza), dobrze zbudowany i jeśli wziąć pod uwagę to, że blond lala nie odrywała od niego swoich maślanych oczu, kobiety dosłownie musiały ślinić się na jego widok, sama zresztą miałam ochotę wytrzeć usta.

– A może wątpisz w swoje umiejętności przywódcze, kapitanie, i boisz się, że nie poradzisz sobie z takim chuchrem? – prowokował go dalej Fitz.

Boże, ja cały czas tu stoję, panowie. Czulałam się gorzej niż para śmierzących, dziurawych skarpetek.

– Obyś mi, Fitz, nie wpakował do zespołu Heleny Trojańskiej, bo osobiście skopię ci dupę, a później rzucę żarłaczom na pożarcie. – Ice znowu spojrzał na mnie. – Ja pierdolę, czeka nas wojna trojańska – mruknął pod nosem, jednak na tyle głośno, że zdołałam go usłyszeć.

– Ja wcale nie chcę być w tej drużynie – odezwałam się hardo. *Kto by tam chciał służyć z jakimiś seksistami i pijakami?*

Mój przyszły kapitan w zdumieniu uniósł brwi tak wysoko, że wystawały ponad oprawki przeciwsłonecznych okularów. Zdaje się, że na starcie popełniłam coś w rodzaju *faux pas*.

– Pierwsza zasada, żołnierzu! – wydarł się. – Nigdy nie odzywaj się bez pozwolenia! A teraz jazda za mną! – Z furią odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi.

– Kiedy ja naprawdę nie chcę być w waszej drużynie ani nawet w wojsku. – Nie ruszyłam się z miejsca. – Chcę wrócić do domu. – *Gdziekolwiek on, do cholery, jest.*

Kapitan przystanął w drzwiach i rzucił przez ramię:

– To jest nas dwoje, żołnierzu, ale rozkaz to rozkaz.

Szłam krok w krok za nim, gapiąc się tępo na jego szerokie plecy. *Nie odzywaj się bez pozwolenia*, przedrzeźniałam go w duchu. *Rozkaz to rozkaz*. Oczywiście, że chciałam zadać milion pytań. Byłam jeszcze bardziej zdezorientowana i oszłomiona niż chwilę temu, choć adrenalina buzująca w moich żyłach skutecznie tłumila przerażenie. Czy naprawdę nie mogłam tutaj trafić na jakąś dobrą duszę, która by mi wyjaśniła, gdzie ja, do cholery, wylądowałam? To wszystko wyglądało mi na jakąś pieprzoną kolonię karną. Nie dość, że patrzono na mnie jak na dwugłowe ciele, traktowano jak parę dziurawych skarpetek, to jeszcze do tego wszystkiego nie pamiętałam, kim jestem. *Bosko! A może to sen? Może to głupi, irytujący sen? Zaraz się obudzę! Wystarczy, że zamknę oczy i kiedy je otworzę, znowu*

będę wszystko pamiętała. Jak pomyślałam, tak zrobiłam, jednak gdy tylko powieki opadły, w mojej głowie pojawił się jeden, nic nieznaczący dla mnie obraz: stare, ziejące pustką mieszkanie i stół nakryty żółtym obrusem. Poirytowana, uniosłam powieki. Zamknęłam je ponownie. Bezskutecznie. *Genialnie!*

– Kazah, w budynku C za pięć minut – warknął do telefonu idący przede mną kapitan.

Zdaje się, że koleś w wydawaniu rozkazów nie miał sobie równych i był furiatem jakich mało. Najwyraźniej nie obawiał się wylewu na skutek pęknięcia jakiejś żyłki.

Opuściliśmy duży, kłocowaty budynek dokładnie tą samą drogą, którą szliśmy godzinę wcześniej. Przecieliśmy duży plac pokryty gorącym jak skurczybyk piaskiem, przez który poparzyłam zmarzniete, bose stopy. Z trudem powstrzymałam się przed syczeniem i podskakiwaniem. Na szczęście już po chwili weszliśmy do hali oznaczonej jako C. Ta nie była już tak pilnie strzeżona. Wystarczyło, żeby kapitan przyłożył przepustkę do elektronicznego czytnika, a drzwi stanęły otworem.

Wnętrze było szaro-nijakie, oświetlone burdelowymi, czerwonymi lampami. Po prawej stronie długiego korytarza ciągnął się rząd metalowych drzwi. Na samym końcu za wysoką ladą stał patykowaty, łysy facet około czterdziestki. Jego krzaczaste brwi mocno kontrastowały z łysą głową. Usta mężczyzny wygięły się w zadziornym uśmiechu, kiedy nas zobaczył.

– Zamknij się, Orzeł – uprzedził go kapitan. – Gdzie, do ciężkiej cholery, jest Kazah?! Znowu dupczy?!

– Yyy... Tu jestem!

Z prawej strony nadbiegł chłopak, może trochę młodszy ode mnie, ale mojego wzrostu. Miał na sobie dobrze mi już znaną białą koszulę i czarne bojówki wciśnięte w ciężkie buciory. Włosy wygolone po obu stronach głowy oraz

sterczący irokez wysmukłały jego opaloną twarz. Oczy Kazaha przeskakiwały z kapitana na mnie i z powrotem. Uśmiechał się szeroko, odsłaniając ułamaną górną jędynkę.

– Eee...Wcale nie dupczyłem, Ice – odparł, grzebiąc przy sprzączce paska – ale oczywiście, jak najbardziej mogłeś tak pomyśleć. Trzeba się kiedyś odlać, nie? – Po przyjacielsku klepnął kapitana w ramię. – Ej, co jest, Ice? Spięty jakiś jesteś? Czyżby Fitz znowu nadepnął ci na odcisk?

– Nie twój zasrany interes!

– Ej, wyraźnie potrzeba ci dobrego bzykanka. – *Dobre rady zawsze w cenie.* Cóż, facet faktycznie wyglądał na spiętego.

Kapitan pociągnął mnie za koszulę, o mało nie przewracając na ziemię. W pierwszej chwili pomyślałam, że właśnie przedstawia koledze swoją nową pannę do bzykania, czyli mnie.

– To jest B1T. – Zdaje się, że jednak mnie przedstawił.

Bosko!

– Yyy... B1 co? – powtórzył Kazah i podrapał się po głowie, robiąc niezbyt inteligentną minę. – Ej, a co to, cholera, znaczy?

– Farmakologiczna z tatuażem – powiedział kapitan z taką pogardą w głosie, że myślałam, że zapadnę się pod ziemię.

– Ooo! – Sądząc po inteligentnej reakcji, teraz i Kazah widział we mnie dwugłowe ciele. – Co mam z nią zrobić? – spytał. – Przelecieć?

Widać chłopak musiał być jakimś specem w tej dziedzinie albo seksoholikiem.

– Spróbuj ją tknąć, idioto, a zmiele twojego fiuta na pasztet, a później sam wepchnę ci go do gęby!

– Ej, spoko, nie irytuj się tak, chłopie. – Uniósł obie ręce w uspokajającym geście. – Trzeba było od razu powiedzieć, że to twoja nowa dupa.

– Dla jasności, Kazah, to nie jest żadna moja dupa! – pieklił się kapitan. – Wyrób jej wszystkie przepustki i skompletuj ubrania. – Zerknął na zegarek. – O dwunastej trzydzieści widzimy się w holu głównym kwatery.

– Yyy... Ona też? – Kazah wybałuszył oczy.

– Ona też. Jezu, czy tobie trzeba wszystko powtarzać dzień po dniu?!

Ice odwrócił się na pięcie i nie zaszczyciwszy mnie nawet spojrzeniem, ruszył w głąb korytarza.

– Ej, to jak ci na imię, dziecinko? – spytał chłopak z wyszczerzoną jędrą.

Przestałam koncentrować się na umięśnionych plecach kapitana i utkwiałam wzrok w tym małym erotomanie.

– Helena Trojańska – odparłam bez namysłu.

– Tragicznie.

– W rzeczy samej.

Następną godzinę spędziłam, chodząc za Kazahem niczym słońce za słońcem. Normalnie zasypałabym go setką pytań i żądała odpowiedzi, ale ani na chwilę nie przestał flirtować z jakąś panienką, do której zadzwonił, ledwie odwrócił się do mnie plecami. Skupiłam się zatem na wyrabianiu przepustek i zgarnianiu do wielkiego wojskowego plecaka wszystkich niezbędnych ciuchów, z bielizną włącznie. Szybko wbiłam się w majtki i krótkie szorty koloru khaki. Koszulę sobie zostawiłam, bo cóż, wyszła i było mi w niej dobrze. Załadowałam plecak po brzegi i przyszła kolej na plastiki.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że wyglądałam koszmarnie, a kobieta z sekretariatu o znajomo brzmiącym imieniu Barbara i burzy brązowych włosów uparła się, że koniecznie trzeba zrobić zdjęcie, ponieważ przepustka bez zdjęcia jest nieważna. Nie miałam makijażu, moje włosy wyglądały

jak zmokła szczota, ale dla niej to było bez znaczenia. Dla mnie była to klęska, zważywszy na fakt, że jednak będę musiała pokazywać tę przepustkę od czasu do czasu. Już i tak ludzie patrzyli na mnie jak na wybryk natury. Teraz jeszcze będą patrzeć jak na cholernie brzydki wybryk natury. *O zgrozo!*

Następne piętnaście minut przesiedziałam w poczekalni na metalowym krzeselku, obserwując, jak Kazah po mistrzowsku podrywa panienkę od parzenia kawy. Chociaż to nie znaczy, że ja bym poleciała na tekst: „Ej, nie wiem, jak ty to robisz, Pazurku, ale staję mi od samego patrzenia na ciebie. Chciałabyś się przejechać moją furą?”. Kim trzeba być, żeby polecieć na coś takiego? Kim trzeba być, żeby na dzień dobry poczęstować dziewczynę takim tekstem? *Matko, gdzie ja jestem?*

Na szczęście za ladą pojawiła się znowu Barbara, ukrócając w ten sposób podboje Kazaha.

– Proszę, to twoje. – Wyciągnęła do mnie dłoń.

Wstałam niechętnie i odebrałam swoją własność. Pod każdą fotką, na której wyglądałam tak, jak się czułam, czyli tragicznie, widniały dwa słowa: Helena Trojańska. No co? Musiałam podać jakieś imię, a właściwego nie pamiętałam. To wymienione przez kapitana jako pierwsze przyszło mi na myśl.

Barbara przyjrzała mi się badawczo.

– Ale ci się trafił oddział – westchnęła, a w jej głosie wyczułam nutkę rozmarzenia. – Niejedna fantazjuje, by się do nich dostać, a ty się pojawiaasz i od razu ładujesz w zespole najseksowniejszych i najlepszych facetów w całej jednostce.

Spojrzałam z powątpiewaniem na Kazaha. Jako przedstawiciel tych półbogów prezentował się trochę lepiej niż przeciętnie. *Boże, czym zachwycała reszta tego motłochu? Ba, jak musieli wyglądać ci, których uważano tutaj za brzydkich?*

Barbara kurczowo trzymała się tematu.

– Dziewczyno, masz szczęście. Jesteś tutaj zaledwie kilka godzin, a już znalazłaś się w najfajniejszym oddziale – powtarzała się. – Jak tego dokonałaś? – Ona naprawdę chciała to wiedzieć. Przebił ją przez nią głód informacji.

– Miałam po prostu pecha – odparłam szczerze.

– Pecha? – Kobieta przyjrzała mi się z niedowierzaniem.

Zapewne wzięła mnie za szaloną. Ludzie tu zabijali się o to, żeby tylko znaleźć się w tej załodze, a ja grymasiłam jak trzylatka. Cóż, podejrzewałam, że oni będą grymasić trochę bardziej niż ja, kiedy mnie zobaczą.

– Ej, mamy już wszystko – oznajmił Kazah, opierając łokcie o wysoką ladę. – Pora pokazać ci hol kwatery głównej Bad Boysów. – Uśmiechnął się tajemniczo.

A więc nazywali się Bad Boys. Mało oryginalnie, ale zapewne nie bez powodu. Ciekawe, jak bardzo źli byli ci chłopcy?

– Czy to daleko? – spytałam, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

– Eee... Widzisz ten biały dom na samym szczycie?

Zwróciłam wzrok do miejsca, które wskazywał palcem. Ujrzałam tylko maleńki punkcik na wierzchołku ogromnej góry. Dodam, że jedynej w okolicy.

– Mhm – mruknęłam, mając nadzieję, że powie, że to nie tam.

– To tam.

O w dupę. Zapowiadała się mozolna wspinaczka w pełnym słońcu i z ciężkim plecakiem. *Bosko!*

Opuściliśmy strzeżony teren, przy wyjściu również pokazując przepustki. Chwilę szliśmy piaszczystą drogą, po której obu stronach gęsto rosły dorodne palmy. Im bardziej oddaliliśmy się od bazy, tym częściej pojawiały się białe domki, a po chwili weszliśmy na szeroką ulicę malowniczego miasteczka.

Ślicznych, białych domków przybywało. Niektóre okazały się sklepikami, inne barami, a pozostałe, jak twierdził Kazah, pełniły funkcję kwater głównych oddziałów. Do pewnego momentu droga wyłożona była kocimi łbami. Dalej rozpościły się schody prowadzące chyba z kilometr w górę.

Na moje niezbyt wprawne oko dochodziło południe. Żar lał się z nieba. Budynki poutykane gęsto po po mojej prawej i lewej stronie nie miały szans, by rzucić najmniejszy nawet cień. *Umrę tu*, pomyślałam.

– Idziemy pieszo? – spytałam nonszalancko, nie chcąc wyjść na mięczaka, i chcąc zasugerować, że o wiele fajniej byłoby windą lub czymś innym. Może kolejką górską? Helikopterem?

– Jasne – odparł Kazah. – Ej, to chyba nic takiego? Zwykły spacer. Skoro dostałaś się do BB, musisz być kimś wyjątkowym. – Obejrzał się przez ramię, a ja obrzuciłam go idiotycznym spojrzeniem. – Eee, no wiesz, siła, kondycja, hart ducha, techniki walk wręcz, posługiwanie się bronią, w tym białą, i parę innych umiejętności, które przydadzą się przy siekaniu wroga – wyjaśnił.

Naprawdę zaczęło mi się zbierać na płacz.

– O tak, jestem wyjątkowa jak jasna cholera – skwitowałam.

Gdzieś w połowie drogi nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Koszula zrobiła się z powrotem mokra, jakbym właśnie wyszła z tego pieprzonego jeziora. Kazah niczym kozica górską pokonywał schody w zastraszającym tempie, w ogóle się przy tym nie męcząc. W pewnym momencie odwrócił głowę i stanął jak wryty. Od razu zawrócił, zszedł te kilkadziesiąt stopni w dół i przyjrzał mi się badawczo.

– Obraz nędzy i rozpacz – podsumował. – Wyglądasz jak gówno w słońcu. Za chwilę się rozpułniesz.

– Dzięki – odparłam. – Ty za to świeżutki i pachnący jak bułeczki prosto z pieca, więc weź mój plecak i mi pomóż.

– Ooo, w dupę Barbary. Będą z tobą same kłopoty.

– Też się cieszę, że jestem w twojej drużynie. – Posłałam mu słodko-kwaśny uśmiech. – Słuchaj, może mógłbyś trochę zwolnić, pogadalibyśmy. Wyjaśniłbyś mi to i owo – zaproponowałam.

Zdjął mi plecak z ramion, zarzucił na swoje, po czym znieśmaczony odwrócił się ode mnie i ruszył pod górę, by już po chwili zostawić mnie daleko w tyle. No i po miłej wyjaśniającej wszystkim pogawędce.

Nie wiem, jak tego dokonałam, ale ostatkiem sił doczłapałam się na sam szczyt. Byłam wykończona i z pewnością odwodniona, lecz widok rozpościerający się z góry okazał się wart wysiłku. W dole małe domki wyrastały gęsto z ziemi niczym kapelusze pieczarek. Cudowna zatoczka cieszyła oczy chyba największego ignoranta. Lazurowe morze zapraszało do chłodnych kąpielei, a strome klify toczyły zażartą walkę z napierającymi na nie falami. Skierowałam wzrok trochę dalej na zachód. Za gęstwiną drzew znajdował się kolejny kłopotawy kompleks. Na wschodzie natomiast dojrzałam niewielką przystań z przycumowanymi do niej kilkoma motorówkami i większymi łajbami. *Hmm, może nie będzie tutaj tak źle, próbowałam przekonać samą siebie.* Miałam tylko nadzieję, że nie będę musiała za chwilę schodzić na dół, bo na przykład okaże się, że czegoś zapomnieliśmy. Tego bym nie przeżyła. Strużka potu spłynęła pomiędzy moimi piersiami, a lekki wiatr schłodził rozgrzane ciało.

– Ej, możemy już ruszać? Nie mam całego dnia, żeby cię niańczyć, mała.

Kazah przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. Miałam ochotę zapytać, co za dopalacze zażywa, bo chętnie skoształabym tego samego.

– Jasne, idziemy – powiedziałam z miną twardzielki, ale po raz kolejny najchętniej bym się rozpląkała.

– Słuchaj, gdzie my w ogóle jesteś? – zapytałam.

– W Comie – odpowiedział.

Aha i wszystko jasne.

– A gdzie jest ta cała Coma i dlaczego nic nie pamiętam?

– Eee, no Coma to jest Coma, nie? A nie pamiętasz, bo śpiący tak już mają. Co innego my. Ty to w ogóle ewident jesteś. Śpiący, który zostaje żołnierzem? Pierwszy raz coś takiego się wydarzyło. To ja już sam nie wiem, czy ty jesteś na pewno śpiącą. Zresztą kapitan wszystko ci wyjaśni.

– Aha – przytaknęłam, domyślając się, że chodziło mu raczej o ewenement. „Farmakologiczna”, „śpiący”, „coma”, te określenia dziwnie harmonizowały ze sobą, nie potrafiłam jednak zrozumieć ich sensu. Może wyjaśnienia kapitana uporządkują mętlik w mojej głowie i dostarczą mi potrzebnych informacji, abym nie wpadła w panikę, której byłam bliska.

Szliśmy kamiennymi płytami wzdłuż żywopłotu pachnących hibiskusów. W oddali majaczył duży, trzypiętrowy dom z czerwoną dachówką. Otaczało go kilka dorodnych palm, których liście stanowiły idealne parasole balkonowe, osłaniając budynek przed ostrym słońcem. Na białym prześcieradle rozciągniętym tuż nad drzwiami od jednej kolumny do drugiej widniał napis:

BARDZO ŻLI CHŁOPCY. WEJDŹ, JEŚLI JESTEŚ WYSTARCZAJĄCO ZŁY.

Zaczęłam się zastanawiać, co rozumieją pod pojęciem „wystarczająco zły”. Może powinnam najpierw kogoś zabić?

A może już to zrobiłam i dlatego znalazłam się w tym miejscu? Powoli zaczynałam podejrzewać, że wyłudowałam w dziewiątym kręgu piekła.

Wspięłam się po kilku stopniach i ku nieopisanej radości znalazłam się w ogromnym, jasnym, a co najważniejsze, przyjemnie chłodnym holu. Białe ściany tylko potęgowały to uczucie. Przy schodach z egzotycznego drewna czekały na mnie trzy brązowe, solidne skórzane sofy. *A jednak ktoś się nade mną zlitował.*

Już zamierzałam się na jedną z nich rzucić, kiedy Kazah postawił mój plecak na ziemi, wpakował sobie dwa palce do ust i zagwizdał. Po chwili podłoga się zatrzęsała. Jak nic z góry zbiegał właśnie oddział szturmowy. Wielkie chłopcy o stalowych mięśniach. Było ich czterech. Tuż za nimi włókł się niewielki w porównaniu do nich, wyraźnie zaspany chłopak o azjatyckich rysach, odziany w kwiecistą koszulkę.

– Big Boy, złaż na dół. Musisz to zobaczyć! – wydarł się jeden z rośliwych szturmowców.

„To” pewnie miało oznaczać mnie. Staralam się nie spłonąć rumieńcem.

– Oby było warto! – ryknął koleś z góry.

Po chwili u szczytu schodów pojawił się olbrzymi, włochaty facet z włosami do pasa. Miał na sobie czerwony zatłuszczony beret, zwyczajowo czarne bojówki i podkoszulek z napisem: „NA CO SIĘ GAPISZ?”.

Momentalnie odwróciłam wzrok.

– No, no, Kazah – zagwizdał. – Zawsze gustowałeś w młodszych, ale po co sprowadziłeś nam na chatę to dziecko? Marna będzie z niej pociecha – rzucił wielkolud i złapał się za tors. – Wolę kobiety o bujniejszych kształtach. A jeśli Ice ją tutaj

zobaczy, zrobi nam półgodzinny wykład o sprowadzaniu panienek bez jego zgody.

Krzyk zamarł mi na ustach. *Niech mnie ktoś uszczypnie*, powtarzałam w myślach jak mantrę.

Odezwał się blondyn w bokserkach od Armaniego:

– Mnie tam bez różnicy. Wcale nie jest taka zła i cycki nawet ma. Nie jak ta poprzednia. – Cmoknął do mnie w powietrzu. – Dajcie mi ją na godzinę, a zrobię z niej prawdziwą kobietę. Ice nie musi o niczym wiedzieć. – Wyszczrzył się, a później wlepił we mnie głodne spojrzenie. – Ktoś chce się założyć, co ma pod spodem?

Nie wierzę, co za cham. Co ja tutaj robię? Mamusiu! Którędy do domu?

– Cisza – warknął zaspany chłopak.

Nagle z twarzy tych sprośnych samców zniknęły uśmiešky. Spowaźnieli, skupiając wzrok na czymś za mną. Za moimi plecami rozbrzmiały kroki, podłużny cień zrównał się z moim na podłodze, a później wysunął jeszcze do przodu.

– Musimy pogadać – odezwał się znajomy głos.

Kapitan stanął pomiędzy mną a Kazahem. Nie wiem, czym się tak denerwowałam, ale serce waliło mi niczym młot pneumatyczny. Podejrzewałam, że za chwilę przedstawi mnie całej reszcie, a po prezentacji jak nic wybuchnie wojna trojańska. Tfu... Armagedon.

Wyszczekany blondyn zaczął się tłumaczyć:

– My jej nie sprowadziliśmy, żeby było jasne.

– Kazah jak zwykle myśli fiutem – powiedział ten drobny chłopak w kwiecistej koszulce.

– Zamknąć się wszyscy! – wydarł się kapitan.

Długowłosey wielkolud wydawał się niewzruszony, gdy powiedział:

– Nie musisz się tak wydzierać, Ice. Wczorajsza libacja i dzisiejszy kac naprawdę dają nam wystarczająco w dupę. Poza tym nie jesteś moją mamusią.

Słyszałam, jak kapitan nabiera głośno powietrza i wypuszcza je ze świstem.

– To jest B1T. Farmakologiczna z tatuażem. – Trzeba mu oddać, opanował się. – Nie mieli co z nią zrobić, a ponieważ to mnie kopnął zaszczyt wyłowienia jej, wcisnęli ją nam. Przy odrobinie szczęścia zniknie szybciej, niż zdążymy się pozabijać.

Tego się nie spodziewałam. Zasady dobrego wychowania nakazują, żeby powiedział coś w stylu: „Witamy w zespole”. Tymczasem dzięki dowódcy oni wszyscy patrzyli na mnie jak na czarnego kota, który właśnie przebiegł im drogę. I co znaczy „zniknie”? Zrobiłam sobie mentalną notkę, aby zapytać o to później.

– Dobra, dobra, Ice. Żarty na bok, a teraz mów, o co chodzi. – Wielkolud skrzyżował ramiona na piersi, a jego kamienna twarz odprężyła się w uśmiechu.

– Chciałbym, żeby to był kiepski dowcip, ale do kurwy nędzy, nie jest. Później zastanowimy się, jak podziękujemy za tę niespodziankę Fitzowi, a teraz powitajmy... – Tu nastąpiła chwila konsternacji. – Jak ci w ogóle na imię? – spytał kapitan.

No wreszcie raczył na mnie spojrzeć, chociaż nie wiem, czy był to powód do radości. Nienawiść przebijała nawet przez ciemne szkła jego okularów. Spoglądał na mnie z tak twardym wyrazem twarzy, jakby rozważał, czy moje imię ma w ogóle jakiekolwiek znaczenie.

Wspaniałomyślnie wyręczył mnie Kazah i palnął:

– Helena Trojańska.

– Że jak? – Brwi kapitana powędrowały do góry, a później łączyły się w jedną linię.

– Ej, no takie dane podała w biurze. – Na dowód swych słów Kazah wyciągnął z kieszeni plecaka przepustki i wręczył je kapitanowi.

Możliwe, że Ice był furiatem i bardzo, bardzo złym chłopcem, ale na pewno nie był głupcem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że podając takie, a nie inne imię oraz nazwisko, zrobiłam z niego kretyna.

– Myślisz, że jesteś dowcipna, żołnierzu?

– Tak mi się wydaje. Lubię swoje poczucie humoru, kapitanie – odpowiedziałam hardo.

– Najgorzej, jak się komuś coś wydaje – skwitował.

Big Boy, wielkolud w czerwonym berecie, jakby dopiero zajarzył.

– Ice, ty mówisz poważnie? To chuchro, to małe gówno, ma być w naszym oddziale? Przecież ona nam wszystko spierdoli.

Pięknie. Tylko się nie rozbecz, dopingowałam siebie, ale patrząc na ich powykrzywiane w złośliwych grymasach twarze, byłam z góry skazana na potok łez. Jeśli nie teraz, to później.

– Wasza w tym głowa, żeby niczego nie spierdoliła – warknął kapitan. – Nadal obowiązuje zasada jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jeśli ona nie będzie wyrabiała, karniaki zgrania cały zespół. Aha – uniósł palec – wypatroszę wam bebechy, a uprzednio skopię dupy, jeśli na koniec miesiąca będziecie mieć gorsze wyniki niż Szerszenie.

Teraz wszyscy patrzyli na mnie, a ich spojrzenia mówiły jedno: „Słyszałaś, mała? Jeśli osiągniemy kiepskie wyniki, to będzie tylko twoja wina, więc jeśli chcesz, aby wszystko odbyło się bezboleśnie, to lepiej się postaraj”.

– W ogóle gdzie się podziewają, do ciężkiej cholery, Cola i Drzazga?! – wydarł się kapitan.

Mnie od takiego ciągłego krzyczenia z pewnością bolałoby już gardło.

– Idę, idę! – Po schodach pędził ciemnoskóry chłopak, owinięty w pasie ręcznikiem, z puszką coli w ręce i z pianą we włosach. – Przepraszam. Byłem pod prysznicem – wyjaśnił.

Całkiem przystojna twarz, z której były spokój i opanowanie mimo darcia kapitana, a te usta...

– Gównu mnie to obchodzi! Dla mnie możesz walić jak zgniłe jaja! – stwierdził „Najważniejszy”.

Chłopak w kwiecistej koszulce był innego zdania.

– Bo nie musisz z nim mieszkać.

Kapitan spiorunował obu wzrokiem.

– Kiedy mówię dwunasta trzydzieści, to znaczy dwunasta trzydzieści i ani minuty później. Czy to tak trudno zrozumieć?!

Cola upił ostatni łyk swojego ulubionego, jak się domyślałam, napoju, po czym zgniótł czerwoną puszkę i posłał ją w kierunku kosza na śmieci.

– Przecież przeprosiłem – powiedział obronnym tonem.

Nadchodząca akurat tamtędy dziewczyna zrobiła zgrabny unik, schodząc z trajektorii lotu.

– Dobry rzut – pochwaliła chłopaka i klepnęła go bezwstydnie w pośladek. – O co biega?

Kapitan ostentacyjnie zerknął na zegarek.

– A ty gdzie się podziewałaś, Drzazga?

– Goliłam się, skarbie. – Obrzuciła go gorącym spojrzeniem. – Chyba nie chciałbyś, żebym się w pośpiechu zacięła tu i ówdzie? – Kokieteryjnie zatrzepotała rzęsami.

– Nie interesuje mnie, co robisz z żyletką, dopóki nie podci-nasz sobie żył, więc na przyszłość przemilcz te nic nieznaczące

informacje – polecił szorstko, a Drzazga zrobiła naburmuszoną minę.

Poczułam się o niebo lepiej ze świadomością, że nie faworyzuje tej seksownej kotki, walącej do niego per skarbie. Zielone oczy stanowiły ozdobę drobnej twarzy, do której pasowała ruda, dynamiczna, krótka fryzurka. Oby długość włosów była jej własnym wyborem, bo nie chciałabym obcinać swoich. Przyjrzałam się uważnie dziewczynie. Mogła mieć około dwudziestu sześciu lat, podobnie jak reszta załogi. Miała nieco krzywy nos, jakby źle się zrósł, i pełne, szerokie usta (może nawet zbyt szerokie), a do tego piękne, wysportowane ciało. Krótkie szorty obnażały zgrabne, idealnie umięśnione nogi, a czarny top na ramiączkach podkreślał gładkie, smukłe ramiona. Pewnie potrafiła zrobić trzydzieści pompek na raz.

Big Boy pospieszył z wyjaśnieniami:

– Ice przyprowadził nam nowego członka drużyny.

– Tę łalunię? – Ruda wybałuszyła oczy. – Co ona jest, pierdolony kamikaze? – zakpiła, a cała jej postawa zdecydowanie nie gwarantowała nam cukierkowej przyjaźni. – Nie wie, że zjemy ją żywcem? Dziecinko, wpakowałaś się w niezłe gównno.

W odpowiedzi zaciągnęłam się głośno powietrzem.

– Racja, coś tu okropnie cuchnie – odszczekałam, bo już nie wytrzymałam. Nie mogłam pozwolić, żeby wycierali sobie mną gęby.

– Wystarczy – rozkazał kapitan. – Nie macie wyjścia, musicie się dogadać. Przedstawcie się kolejno.

Jakoś nikt się nie kwapił.

– Jazda!

Podziałało. Szkoda, że stałam tak blisko tego krzykacza.

Na pierwszy plan wysunął się koleś z ekipy szturmowej. Wysoki, barczysty, wyszczekany blondyn. Ten, co to w godzinę

chciał ze mnie zrobić kobietę. Gładko ogolona buźka, kwadratowa szczeka, małe oczka, ale cholera, całkiem przystojny skurczybyk.

– Jestem Melon – zaczął, przeczesując ręką włosy w geście „Zapamiętaj, maleńka”. – Potrafię opchnąć wszystko. Od grzebienia łysego po kopalnię uranu pacyfistom. Skombinuję na szybko rzeczy pozornie nie do zdobycia. Jeśli nie wierzysz, możemy się założyć.

Chwalipięta, pomyślałam, tylko co to ma do rzeczy? Czyżbym w krótkim czasie miała zaopatrzyć się w rzeczy, których tak naprawdę nie potrzebowałam?

– Przestań sobie tak wlewać. – Drugi szturmowiec pociągnął go za ramię do tyłu i sam wyszedł na środek. – Pasha – przedstawił się opalony, ciemnowłosy dryblas o ponad głowę wyższy ode mnie.

Miał piękne czarne oczy, w których mogłabym zatonać. Dwudniowy zarost i wystające kości policzkowe. Jego brwi układały się w dwa idealne łuki, a włosy były krótko ostrzyżone, jak na żołnierza przystało.

– Mówisz „Pasha coś się spieprzyło”, a Pasha to naprawi. Rzucam nożami do bestii nie gorzej niż kapitan. To jedna z dwóch rzeczy, w których jestem naprawdę niezły. Mogę ci pokazać tę drugą. – Sugestywnie poruszał brwiami.

– Nie dzięki – odparłam. – Dzierganie serwetek kompletnie mnie nie interesuje, ale wierzę, że można sobie wyrobić przy tym niezłe bicepsy. – Uśmiechnęłam się z przekąsem, wskazując na jego ramiona.

Wszyscy ryknęli śmiechem, tylko Pashy nie było do śmiechu. I dobrze, może następnym razem nie potraktuje mnie jak pierwszą lepszą laskę, z którą może się zabawić.

– Coś czuję, że ta mała dostarczy mi przedniej rozrywki – wciął się niebieskooki brunet.

– Ja pieprzę – rzekł Pasha. – Wystarczy jedna noc, by pokazać ci, kto tu rządzi, mała – rzucił do mnie, złowrogo szczerząc kły.

Następnie przyszła kolej na szturmowca z hebanowymi włosami, czesanymi wiatrem, tego, co liczył na przednią rozrywkę. Miał niesamowicie niebieskie oczy, prawie tak bardzo jak moje, ale w ich spojrzeniu czaiło się coś niepokojącego. Jego nos nie należał do najmniejszych, usta raczej nie grzeszyły wielkością, ale kiedy zebrać wszystko do kupy, tworzyło to całkiem interesującą twarz. Był tym typem faceta, którego zwykłam nazywać mrocznym.

– Zluzuj, dziecinko. Mówią na mnie Pietia – odezwał się. – Władam mieczem najlepiej z nich wszystkich i moje ostrze, w odróżnieniu od noża Pashy, jest najdłuższe. – Aluzyjnie poklepał się ręką w połowie uda.

– Właśnie widzę. Wacek nogawką ci wystaje. – Z rozbażeniem obserwowałam, jak Pietia szybko spogląda w dół, a później ze złością na mnie. – Nie wystaje? – zadrwiłam.

Wielkolud, znaczy Big Boy, był do mnie ewidentnie negatywnie nastawiony.

– Ktoś ci powinien założyć kaganiec, Dzidzia – warknął.

– Ja bym jej założył od razu kajdanki, usta niech ma wolne – powiedział kolejny ze szturmowców.

Mamusiu, gdziekolwiek jesteś, ratuj! Chryste, chyba miałam jakąś rodzinę? Wiedziałam, co to rodzina, pamiętałam naprawdę wiele rzeczy, z wyjątkiem swojego życia. Zupełnie jakby ktoś powycinał w nim nożyczkami dziury.

– Kokos – przedstawił się amator sadomaso. – Mam najlepsze wyniki z nich wszystkich. Trzydzieści siedem żarłaczy

w tym miesiącu. Procentowo wychodzi to dokładnie sto procent w skali roku. Jeśli chcesz, podam ci średnią z ostatnich lat.

Fajnie, ten przynajmniej nie miał kompleksu ptaszka. I szczerze mówiąc, nie wyglądał, jakby miał jakikolwiek kompleks. Stał pewnie na szeroko rozstawionych nogach, z niebywale aroganckim wyrazem twarzy. Jasne włosy związał na karku w kitkę. Szare, bystre oczy patrzyły na mnie przenikliwie. Było w nim coś pociągającego. Może ten uśmiech?

Wielkolud stojący obok klepnął go olbrzymią, włochatą ręką w plecy. Zrobił to na tyle mocno, że aż zahuczało w powietrzu.

– Dobra, dobra, Kokos. Poczekaj do następnej akcji. Mam tylko dwa żarłaczki mniej niż on na swoim koncie. Jestem Big Boy i zabijam te gnojki gołymi rękoma. – Facet schował pięść w swojej wielkiej łapie. – Mamusia mawiała, że przystojna ze mnie bestia.

Mamusia musiała mieć poważne problemy ze wzrokiem. W każdym razie w to, że Big Boy załatwia jakieś tam potwory gołymi rękoma, mogłam akurat uwierzyć. Koleś wyglądał jak niedźwiedź na sterydach. Jego udo mogło mieć obwód dwukrotnie większy niż obwód mojego pasa. W tym przypadku roztropnie postanowiłam nie wychylać się z ciętymi ripostami. Poza tym nie zaatakował mnie w swojej wypowiedzi, choć doskonale rozumiałam, że ta pięść była przeznaczona dla mnie. Zrobiłam sobie mentalną notatkę i dopisałam kolejne pytanie do stale powiększającej się listy: „Czy oni tu polują na rekiny?”.

Przesunęłam wzrokiem w bok i utkwiałam go w czarno-skórym chłopaku.

– Cola – przedstawił się dość tajemniczo.

– Okej.

Kiwnęłam głową, ale już odezwał się ten w kwiecistym T-shircie:

– Masao, laleczko. – Zasalutował.

Tylko nie laleczko!

– Masao jest mistrzem sztuk walki. Tylko jedna osoba na tej ziemi jest w stanie pokonać Masao. – Facet mówił o sobie w trzeciej osobie, uroczco.

Swoją drogą ciekawe, któż jest tym szczęśliwcem, który potrafi skopać mu tyłek.

Teraz przyszła kolej na rudego wampa.

– Drzazga – odezwała się głosem, który z reguły przypisuje się alkoholikom. Dziewczyna wpatrywała się w swoje wypielegnowane dłonie, kompletnie mnie ignorując. – Jestem najlepszym zwiadowcą, jakiego ta banda miała. Świetnie sobie do tej pory radziliśmy bez ciebie, więc może wyświadczyć nam przysługę i wróć tam, skąd przybyłaś.

W tym sęk, że nie wiedziałam, skąd przybyłam. Mimo wszystko zagotowała się we mnie krew. *A gdzie solidarność jajników?* Nie mogłam pozwolić, żeby na dzień dobry mnie zjechali. Musiałam im pokazać, że też potrafię być twardzielką i nic sobie nie robię z ich chamskich tekstów.

– Wiecie co? Jeszcze nigdy nie widziałam tylu niesympatycznych mord naraz. Może i jesteście najlepsi w tym, co robicie, ale to chyba jedyny pozytyw. Jak dobrze, że powiesiliście swoje zdjęcia. – Skinęłam w kierunku ściany z ich fotkami, dyplomami i odznaczeniami. – Przynajmniej będę miała w co strzałkami rzucać. Każde oko pięćdziesiąt punktów. Kapitanie? – Odwróciłam się i nagle znalazłam się bardzo blisko niego.

Zerknęłam w górę i z pewnością zdradził mnie mój rumieniec. Ile lat mógł mieć ten facet? Ciało z pewnością należało do

dwudziestokilkulatka, zbliżającego się raczej do trzydziestki. Jego mięśnie zdawały się wykute ze stali, a on sam sprawiał wrażenie maszyny do zabijania. W tych swoich czarnych okularach, w patrolówce i z lekkim zarostem wyglądał cholernie szorstko i seksownie zarazem.

– Oby ci ta brawura wyszła na dobre, żołnierzu – powiedział. – Dla jasności, nie przybiegaj do mnie z płaczem, jeśli zależą ci za skórę. – Co w wolnym tłumaczeniu znaczyło: radź sobie z nimi sama. – Kazah – zwrócił się do chłopaka, wyciągając dłoń, w której trzymał klucze. – Pokaż jej mieszkanie po Sandorze.

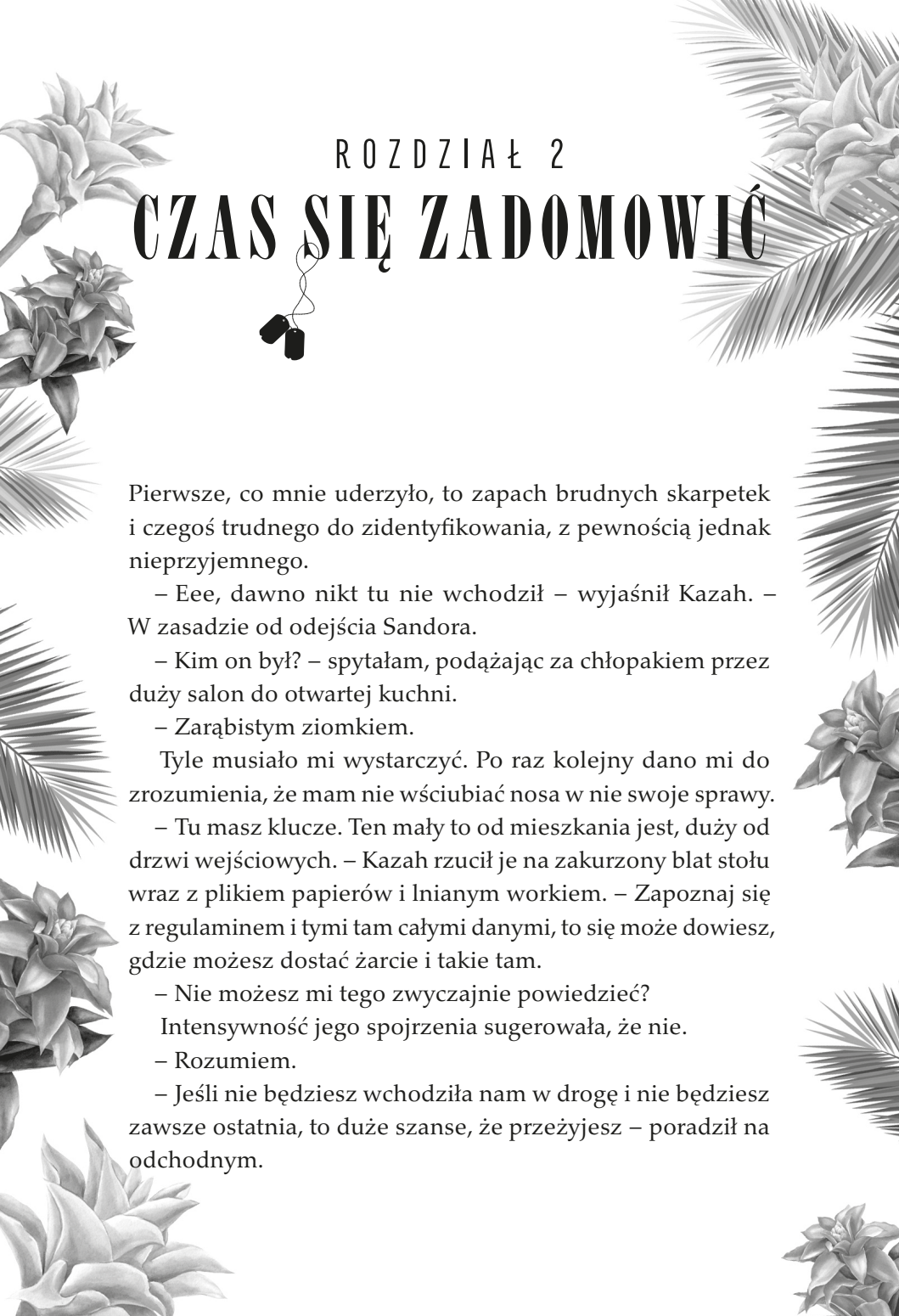
– Ej, po Sandorze? – To już nie było oburzenie. To był foch nad fochy.

– Kapitanie, ale ja... nie zamierzam... tu... zostać... – wyduślałam, urywając za każdym razem, gdy kapitan stawiał kolejny energiczny krok w moim kierunku.

Z warkotem wyartykułował mi w twarz:

– Od-ma-sze-ro-wać!

Kazah zacisnął zęby i poprowadził mnie do drzwi znajdujących się na lewo od wejścia do holu głównego. Nie musiałam się odwracać, żeby wiedzieć, że cała reszta posyła mi w tej chwili mordercze spojrzenia. Niemalże czułam, jak wbijają mi noże w plecy. Kiedy tylko weszłam za Kazahem do mieszkania, pospiesznie zamknęłam za sobą drzwi.



ROZDZIAŁ 2

CZAS SIĘ ZADOMOWIĆ



Pierwsze, co mnie uderzyło, to zapach brudnych skarpetek i czegoś trudnego do zidentyfikowania, z pewnością jednak nieprzyjemnego.

– Eee, dawno nikt tu nie wchodził – wyjaśnił Kazah. – W zasadzie od odejścia Sandora.

– Kim on był? – spytałam, podążając za chłopakiem przez duży salon do otwartej kuchni.

– Zarąbistym ziomkiem.

Tyle musiało mi wystarczyć. Po raz kolejny dano mi do zrozumienia, że mam nie wściubiać nosa w nie swoje sprawy.

– Tu masz klucze. Ten mały to od mieszkania jest, duży od drzwi wejściowych. – Kazah rzucił je na zakurzony blat stołu wraz z plikiem papierów i lnianym workiem. – Zapoznaj się z regulaminem i tymi tam całymi danymi, to się może dowiesz, gdzie możesz dostać żarcie i takie tam.

– Nie możesz mi tego zwyczajnie powiedzieć?

Intensywność jego spojrzenia sugerowała, że nie.

– Rozumiem.

– Jeśli nie będziesz wchodziła nam w drogę i nie będziesz zawsze ostatnia, to duże szanse, że przeżyjesz – poradził na odchodnym.

Zabrzmiało jak groźba. Wzięłam ją sobie do serca. Odprowadziłam wzrokiem chłopaka do drzwi i dopiero gdy wyszedł, pozwoliłam sobie na głośne westchnięcie.

Opadłam na zakurzone krzesło, wznosząc przy tym biały pył w powietrze. Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Po prawej znajdował się aneks kuchenny. Rząd białych szafek, stara kuchenka gazowa, na której stały podniszczony czajnik i błękitny garnek, otwarta mikrofała, drewniany stojak na kubki. Nawet dwóch gwiazdek bym nie dała. To musiała być cholerna świątynia pamięci. Zajełście, kolejny powód, dla którego mogli znienawidzić mnie jeszcze bardziej.

Podeszłam do lodówki, w której znalazłam trzy piwa i wódkę. Potrzebowałam rozpaczliwie zaspokoić pragnienie, ale nie tym. Trzasnęłam więc drzwiami, wyładowując na nich swoją narastającą frustrację. Mój wzrok powędrował w stronę półki zawieszanej obok głośno tykającego zegara. Zatrzymałam spojrzenie na kilku słoikach, paczce tytoniu, zapałkach i dwóch bibułkach. *Dramat*. Przeszukałam wszystkie szafki, ale tam również nic nie znalazłam. Jedynie jakieś talerze, filiżanki oraz starą patelnię, na której nie ośmieliłabym się niczego usmażyć.

Po lewej czekał się salon. Był na tyle przestronny, że mieścił stół bilardowy ustawiony na podwyższeniu pod oknami oraz trzy ogromne, miękkie i z pewnością wygodne kanapy z wielkimi, czerwonymi poduchami. Wszystko w zgranym zestawie z czarnym stolikiem, dywanem i roletami w oknach – dopracowane do bólu. W dwóch kątach stały drewniane popielniczki w formie nagich kobiet dźwigających misy na głowie. Klimat jak z baru dla koneserów dymu. Na ścianie wisiała plazma wielkości ekranu w małym kinie.

Zwiedziłam też łazienkę. Prysznic oblepiony kamieniem, kilka odpadających kafelków w kolorze „kiedyś byłem biały”, umywalka z rdzawym zaciekiem i lustro. To ostatnie było niczego sobie. Potrafiło zniekształcić człowiekowi twarz, tak że z trudem siebie rozpoznawał. Kiedy przesunęłam się w prawo, mój nos robił się nieproporcjonalnie szeroki, za to oczy małe i rozlazłe. Całość zdominowało jednak czoło. Miałam długie blond włosy. Nie był to, co prawda, mój kolor naturalny, ale pasował do mnie. Usta ani duże, ani małe. Takie w sam raz, bym powiedziała. Nos wąski i krótki. W końcu dochodzimy do oczu. Mojej ulubionej części.

Odbicie, które widziałam w lustrze, było znajome i obce jednocześnie. Miałam wrażenie, że nie patrzę na siebie, tylko na zupełnie inną osobę. Na... Czułam, że ta myśl, rozwiązanie prostej łamigówki, jest w zasięgu ręki, ale gdzieś mi umyka. Nie potrafiłam sobie niczego przypomnieć.

Po pobieżnej analizie musiałam stwierdzić, że było to mieszkanie typowo męskie. Spojrzałam w kierunku białych, rozsuwanych drzwi i właśnie tam skierowałam swoje kroki, o mało nie zabijając się po drodze o rozrzucone na podłodze dwa pady do konsoli i kilka płyt.

Cóż, aż mnie zamurowało. Pierwsza myśl, która zawitała w mojej głowie, to: „Kim był koleś, który tu mieszkał?”. Bez wątplenia znalazłam się w legowisku bestii. Olbrzymie łóżko wodne zajmowało niemal cały pokój. To nic, że czarna narzuta z pewnością wymagała odświeżenia, a poduszki chyba już coś zaczęło zjadać, bo pełno w nich było dziur. Nie łóżko jednak stanowiło o randze tego pokoju, a sufit i ściany, które w stu procentach, pomijając dwa okna, zostały pokryte lustrami. Gdzie nie spojrzałam, widziałam siebie. Boże, toż to istne

gniazdo rozpusty! Nie wiem, jak długo stałam tam z rozdzieloną paszczą, ale pewnie trochę to trwało.

W końcu wróciłam do kuchni i zaczęłam czytać czternastostronicowy regulamin. Wynikało z niego jasno, że jeśli chcę opuścić wyspę, potrzebuję do tego przepustki, a tę wydać mi może jedynie kapitan. Generalnie do wszystkiego tutaj niezbędne były plastikowe karty, co mogło stanowić istotny problem.

Wyrzuciłam zawartość czarnego płóciennego worka na blat stołu. Wysypało się z niego kilka kart i zegarek. Obejrzałam dokładnie plastiki. Niebieski pozwalał do woli korzystać z kompleksu sportowo-rekreacyjnego, w którego skład wchodziły: basen, sauna, siłownia, dwie sale gimnastyczne, strzelnica. To akurat mi się spodobało. Dzięki zielonej karcie mogłam się najeść do syta za darmo, złota zaś umożliwiała zrobienie zakupów.

Z tego, co wyczytałam w broszurce, każdy oddział składał się z dziesięciu do piętnastu członków. Ich zadaniem było transportowanie S1 do MS lub MG (cokolwiek to, u licha, oznaczało) oraz ochrona B1. W zamian za to otrzymywali oni comiesięczny żołd. Właśnie taki żołd znajdował się na mojej karcie. Na dzień dobry zdeponowano na niej tysiąc contienów. Nie miałam pojęcia, czy to dużo. Czy kupię za to wodę do picia, czy wybuduję basen. Wzruszyłam ramionami i wbiłam wzrok w czarny, plastikowy zegarek. Nie dołączono do niego żadnej instrukcji obsługi. Nic z wyjątkiem niewielkiej karteczki z napisem: „Załóż natychmiast i nigdy nie ściągać”. Taaa, jasne. Nie byłam aż tak głupia. Mogło to być coś w rodzaju obroży, która wybucha, jeśli będę chciała opuścić to miejsce albo zdezerterować. Wcisnęłam brzydactwo z powrotem do woreczka.

Hmm. Żadnych wskazówek dotyczących śpiących ani tego, jak radzić sobie z utratą pamięci. Wyglądało na to, że muszę tu zostać, póki nie dowiem się, co się ze mną stało, lub nie odzyskam pamięci. Co za beznadzieja!

Dwadzieścia minut później zdesperowana, zdołowana, ale jednocześnie zdeterminowana, czyli tak zwane potrójne „Z”, schodziłam tymi przekłętymi schodami z powrotem do mieszkania. Na ramionach niosłam zielony wojskowy plecak. Do kieszeni wepchnęłam karty, zegarek i niekończącą się listę zakupów. Pozycję pierwszą na tej nieszczęsnej liście zajmowały środki czystości. Wszelkiego rodzaju płyny do czyszczenia kibla, łazienki, kuchni, podłóg, plus, rzecz jasna, gąbki, ścierki, mop i coś dobrze odkażającego. Dalej proszek do prania i płyn do płukania. Pod numerem drugim umieściłam podstawowe kosmetyki i przybory drogeryjne, takie jak szczoteczka i pasta do zębów, żel pod prysznic, maszynki do golenia (koniecznie!), szampon do włosów, podpaski i tampony.

Cztery „cholery”, pięć „kurw” i dwa potknięcia później stałam u podnóża wzniesienia. Wmieszałam się w tłum spacerujących szeroką uliczką. Większość stanowili mężczyźni w mundurach, rzadziej ci ubrani jak cywile, za to odnotowałam olbrzymi deficyt jednostek płci pięknej. To nie wróżyło nic dobrego.

Minęłam dwie restauracje, z których sączył się całkiem przyjemny zapach. Skręciłam w lewo przy szarym, betonowym biurowcu, który wyrastał tutaj niczym brzydki pryszcz na gładkiej buzi. Na szczęście na końcu ślepej uliczki ujrzałam upragniony supermarket. Na niewielkim placu przed nim stało kilka wojskowych samochodów, zaparkowanych równo jak od liniiki. Cywilnego auta jeszcze tu nie uświadczylam.

Pół godziny później zadowolona, w o niebo lepszym nastroju, już prawie zapomniawszy o paskudnych facetach, podjechałam moim wózkiem do kasy. Wyłożyłam wybrane przez siebie artykuły na taśmę, a chudy kasjer o bladej, wampirzej cerze zaczął wreszcie przeciągać je po czytniku. W tej chwili naszła mnie pewna wątpliwość, czy dam radę wrócić z tym do kwatery. Po kolei upychałam towar do olbrzymiego plecaka, aż ledwie wszystko zmieściłam. Następnie podałam chłopakowi kartę, uśmiechając się do niego przyjaźnie. Wsunął ją w terminal, a po chwili na jego obliczu zagościł głupkowaty grymas.

– Kartę trzeba aktywować i podać PIN – oznajmił znudzonym głosem, po czym spojrzał na mnie lekko poirytowany.

– Yyy... – *Dupa, dupa, dupa. Jaki, cholera, PIN?*

– Jesteś tutaj nowa? – spytał ktoś stojący w kolejce za mną.

– Aż tak to widać? – Obejrzałam się z drwiącym wyrazem twarzy.

– Niestety.

Uśmiech, i tylko uśmiech, miał powalający. W innych okolicznościach z pewnością bym go spławiła, ale ponieważ A) znajdowałam się w gównianej sytuacji, B) nie znałam zbyt wielu życzliwych mi tutaj ludzi, postanowiłam więc dać mu szansę.

– No cóż, jestem tutaj nowa – przyznałam, siląc się na uśmiech.

– Zdaje się, że otrzymałaś zegarek.

– To plastikowe badziewie? – Wyciągnęłam z kieszeni czarny woreczek, do którego wcześniej schowałam zegarek.

– Właśnie. Z reguły jest tam dołączona taka karteczka i każdy, kto zna alfabet i ją przeczyta, natychmiast go zakłada.

Czy on właśnie zasugerował, że nie umiem czytać? Idiota!

– Więc załóż go, bo inaczej nie aktywujesz karty i twoje zakupy – obrzucił mój plecak ironicznym spojrzeniem – będą musiały zostać w sklepie.

Zniecierpliwiony kasjer chrząknął już chyba trzeci raz. Chciałam zapytać, czy zalega mu flegma, ostatecznie jednak zdecydowałam się na inną opcję, bo oczywiście zawsze istnieje jakaś alternatywa. Ta była wszawa, jak nie wiem co. Mogłam zostawić sprawunki w cholerę i wrócić do jednostki, nie myć się, mieszkać w syfie albo założyć ten podejrzany zegarek i tym samym uzbroić tkwiącą w nim bombę, ale za to w niedalekiej przyszłości poczuć się czysta i pachnąca. Cóż, chęć ogolenia nóg, umycia zębów i odkażenia mieszkania zwyciężyła. Zapięłam czarny plastik na nadgarstku.

– Wciśnij ten guzik i przytrzymaj – podpowiedział chłopak stojący za mną.

Tak też zrobiłam. Na ekranie pojawiło się kilka kolorowych smug, zamrugały jakieś cyfry, a później moja karta zapiszczała w terminalu.

– Gotowe – rzucił kasjer. – Teraz wklep tutaj PIN, który wyświetlił ci się na zegarku.

Podsunał mi terminal, a ja wbiłam te cztery cyfry.

– Dziękuję i zapraszam ponownie – powiedział jeszcze bardziej znudzonym głosem, kiedy sfinalizowaliśmy transakcję.

Zarzuciłam sobie plecak na ramiona, o mało się przy tym nie przewracając. Tylko dzięki pomocy chłopaka z kolejki udało mi się uniknąć takiego obciachu. Nawet nie wymamrotałam „dzięki”. Opuściłam sklep bez słowa, bo byłam zbyt przejęta. Poza tym sugerował, że jestem analfabetką, więc jak dla mnie mógł się bujać.

Plecak ciążył mi okrutnie, a nie przeszłam jeszcze stu metrów, nie mówiąc już o tym, że za chwilę czekała mnie mozolna wspinaczka po schodach.

– Hej, szalona dziewczyno!

Nie zareagowałam, mimo że byłam jedyną osobą płci żeńskiej znajdującą się na ulicy.

– Hej! – Dopadł mnie koleś z supermarketu.

– Hej, to znowu ty.

Zdaje się, że ponownie mnie obraził, nazywając szaloną.

– Jestem Lazar.

– Helena Trojańska.

– Okej, nie chcesz, to nie mów, jak ci na imię, ale i tak się dowiem.

Aby oszczędzić mu niepotrzebnej straty energii na przeszukiwanie bazy danych, wyciągnęłam swoją przepustkę. Przyglądał się jej przez moment. Jak dla mnie zbyt długi, żeby w tym czasie przeczytać jedynie nazwisko. Chyba że sam miał problemy z literkami.

– Jesteś w drużynie Bad Boysów? – wymamrotał po chwili.

Czy mi się zdaje, czy trochę zbladł?

Oddał mi przepustkę, przyglądając się bacznie.

O co wszystkim chodzi z tymi Bad Boysami? Ci faceci nie mogą być chyba aż tak dobrzy?

– Jestem w Bad Boysach – przyznałam, co nie do końca było zgodne z prawdą.

Oni mnie do siebie nie przyjęli. Nie ma co, kochaliśmy się bardzo i to ze wzajemnością. Nie wiem tylko, kto kogo bardziej.

– Nie obraż się, ale całkiem niepozorna jesteś.

Miły chciał być czy jak?

– Nie obraż się, ale ty też mi wyglądasz tylko na czternaście. – Aluzyjnie zerknęłam na jego krocze.

– Pozory mylą, szalona dziewczyno.

– Właśnie. – Uniosłam wyzywająco jedną brew.

– Masz rację, skoro umieścili cię właśnie tam, nie powinienem podawać twoich nieprzeciętnych zdolności w wątpliwość.

To naprawdę zaczynało się robić irytujące. Co takiego, u licha, posiadali ci goście, że trzeba było wystawać ponad słupek rtęci, żeby do nich dołączyć? Kim, do cholery, musiał być kapitan, skoro dowodził drużyną półbogów?

– Może ci pomóc z tym plecakiem? – zaproponował Lazar.

Okej, nie był znowu taki zły. Zerknęłam z ukosa na jego twarz. Daszek wojskowej czapeczki rzucał cień na wpatrujące się we mnie jasne, szare oczy. Nos miał zgrabny i prosty, usta małe, wąskie i absolutnie asekualne, jeśli o mnie chodzi. Twarz, ogólnie rzecz biorąc, cyrkiem rysowana. Boże, naprawdę bym go spławiła w innych okolicznościach, ale podejrzewałam, że jeszcze chwila i trzaśnie mi kręgosłup, a on sam zaoferował pomoc. Byłabym głupia, gdybym odmówiła.

– Skoro nalegasz – odparłam z nonszalancją w głosie. – Chociaż to, doprawdy, niepotrzebne. Sama świetnie sobie radzę.

Na szczęście nie widział tych kropli potu, spływających między moimi piersiami. Kończąc wypowiadać zdanie, modliłam się, żeby przypadkiem nie odpowiedział: „To radź sobie sama”.

– Nie wątpię – odrzekł, przyglądając mi się z cieniem boskiego namaszczenia.

Pomógł mi ściągnąć napakowany plecak, a potem bez problemu zarzucił go sobie na ramiona.

– To jak umarłaś? – spytał.

Eee... że co?! Chwila, o czym on mówił? Nie umarłam. Boże, przecież nie umarłam, prawda? Musiał zauważyć przerażenie malujące się na mojej twarzy, bo szybko powiedział:

– Rozumiem, to dla ciebie jeszcze zbyt bolesne. Wszystkie te ziemskie wspomnienia – westchnął. – Minie trochę czasu, zanim pogodzisz się z własną śmiercią i przestaniesz tęsknić.

O czym on bredził? Umarłam? Ziemskie wspomnienia? Przecież niczego nie pamiętałam. O nie, jęknęłam bezgłośnie. Nagle zabrakło mi powietrza, a zimna strużka potu spłynęła po plecach.

– Wszystko w porządku? – spytał, kładąc dłoń na moim ramieniu.

Przystanęliśmy na moment w cieniu olbrzymiej palmy kokosowej. Cała ulica była nimi usiana wzdłuż krawężników jak parasolami chroniącymi przed ostrym słońcem.

– Nic mi nie jest – odbąknęłam. – Przepraszam, zamyśliłam się.

– Mnie też na początku było ciężko.

Szczerze, koleś, średnio mnie to obchodzi.

– Opowiedz mi o tym – poprosiłam wbrew sobie. Zawsze to jakieś źródło informacji, więc nie zamierzałam wybrzydząć. Ale żebym była trupem?!

Ruszyliśmy dalej w tym samym kierunku, co reszta przechodniów. Mogłabym przysiąc, że mężczyźni patrzyli na Lazara z zawiścią w oczach. Czyżby zazdrościli mu towarzystwa?

– Pamiętam, że skakałem na główkę do wody, a później obudziłem się tutaj – powiedział sennym głosem. – Na początku byłem zdezorientowany, wiesz, ten moment pojawienia się w jeziorze, a później, kiedy stwierdzili, że jestem kimś wyjątkowym, przeszedłem badania i tak dalej, przypomniałem sobie dawne życie. Tęskniłem za nim. Nie umiałem

się tutaj odnaleźć, ale teraz wiem, że jestem we właściwym miejscu. Z tobą będzie tak samo. – Posłał mi ten swój rozbrajający uśmiech.

– Tylko, że ja niczego nie pamiętam.

– Nic a nic?

– Pamiętam wiele rzeczy, znam tabliczkę mnożenia, wiem, jak robi się jajecznicę, umiem czytać, wiem, jak wygląda puszka coca-coli, ale kompletnie nie wiem, kim jestem i co przeżyłam, a już tym bardziej, jak tu trafiłam. Jestem w niebie?

Lazar patrzył na mnie z przerażeniem.

– Jesteś śpiącą? – zapytał z odrazą, ignorując moje pytanie. – Ale masz tatuaż?

– Mam – dodałam, a zmarszczka niepokoju szybko zniknęła z twarzy mojego rozmówcy. – Jeśli jest tak, jak mówisz, to co my tu w ogóle robimy? Myślałam, że po śmierci człowiek trafia do raju lub piekła.

– Chętnie zrobiłbym Ice'owi na złość i opowiedział ci wszystko, ale niestety nie mogę. Jesteś pierwszym nowym żołnierzem od wielu lat, to dupek wszech czasów musi przeprowadzić twoje szkolenie, nie ja.

Świetnie. Na domiar złego dotarliśmy do schodów. Kiedy spojrzałam w górę, oprócz tysiąca stopni ujrzałam bezchmurne, błękitne niebo i wzgórze mieniące się żywą, soczystą zielenią. Gdzieś w połowie drogi ginęły wszystkie białe domki i zaczynała się dzika, nieokiełznana przyroda. Cały ten cudowny widok przypominał obrazek zatytułowany „Schody do nieba”. Nie było to jednak nic innego jak schody do piekła. Poważnie zaczęło mi się zbierać na płacz na samą myśl o wspinaczce i ponownym ujrzeniu Bad Boysów. Ba, miałam ochotę wyć, ale musiałam zgrywać twardzielkę, którą chyba nigdy nie byłam.

– Idziemy? – ponaglił mnie Lazar.

– Jasne. – Nie ma to jak udawany entuzjazm w głosie.

– To może powiesz mi, szalona dziewczyno, jakie to niebywałe umiejętności posiadasz? – Wydawał się zainteresowany tematem.

– Zdaje się, że rozwałam – odparłam bez namysłu, gapiąc się na chłopaka palącego skręta w oknie mijanego przez nas domku i jego roznegliżowaną koleżankę, która właśnie schowała się do środka.

Nie kłamałam przecież. Znalazłam się w zespole jako ta, która miała go rozwalić.

– Genialnie! Jesteś specem od rozwałki.

– Rozwałki? – powtórzyłam, na powrót skupiając się na pucołowatej twarzy Lazara. – Tak, chyba tak.

Gdzieś tam zaświtało mi, że kłamstwo ma krótkie nogi. Moje, zdaje się, ledwo od ziemi odstawało.

– Jestem kapitanem oddziału Szerszeni – oświecił mnie Lazar. – Nie słuchaj wszystkiego, co ci o mnie powiedzą twoi nowi kumple – dodał już nieco tajemniczo.

W zasadzie nie powinien się martwić, bo jedyne, co mogli mi powiedzieć moi, jak ich określił, nowi kumple, to: „spierdalaj”.

– Nie przepadacie za sobą? – zgadywałam, starając się ukryć lekką zadyszkę nerwowym śmiechem.

– Najchętniej poobrywałbym gnojom łby i zagrał nimi w kręgle. Więc tak – potwierdził po chwili, machając przy tym głową, jakby chciał się upewnić, że zrozumie. – Raczej za sobą nie przepadamy.

Błysnął zębami. W tym pełnym słońcu jego śnieżnobiały uśmiech był jak zabójcza broń – mógł trwale oślepić. *Oj, przydałyby się okulary.*

– Nie będę kłamał. Nienawidzę Bad Boysów. Szkoda, że trafiłaś akurat do nich.

Przystanęłam z wrażenia. Nie, nie powalił mnie jego uśmiech ani żal, że nie jestem w jego zespole, lecz ta gadka o nienawiści i obrywaniu łbów. Nareszcie ktoś, kto nie miał świra na punkcie tych półbogów. Przynajmniej nie takiego jak reszta. Wybuchłam głośnym i szalonym śmiechem.

– Wiesz co? Chętnie bym się z tobą przeszła na te kręgle – rzuciłam między jednym „haha” a drugim.

– Też za nimi nie przepadasz? – zapytał z niedowierzaniem. – Gdzie ci kretyni mają oczy?

– W dupię? Jeśli uznać, że mają gówno zamiast mózgu.

– Na twoim miejscu nie wygłaszałbym głośno takich teorii w ich obecności – ostrzegł. – Poza tym mam złą wiadomość, szalona.

Przez moment myślałam, że za chwilę oznajmi, że jest kolejnym członkiem Bad Boysów.

– Tutaj muszę cię zostawić. Dalej niestety nie wolno mi wchodzić. To wasz teren.

A w dupę z taką pomocą. Nie byliśmy nawet w połowie drogi na górę.

– Spoko. Rozumiem. Skoro nie można, to nie można – skwitowałam, wzruszając ramionami, choć już czułam na nich ten przeogromny ciężar.

Lazar wsunął mi plecak na plecy, pokrzepiająco poklepał, po czym rzekł:

– Do zobaczenia, szalona dziewczyno. Kto wie, może następnym razem na kręglach?

– Mhm.

W dupię miałam te kręgle, ponieważ podejrzewałam, że w najlepszym wypadku umrę gdzieś trzysta stopni wyżej.

Chociaż, jeśli wierzyć słowom Lazara, to już nie żyłam, więc pewnie będę jak ten Prometeusz cierpieć katusze przez wieczność, padając co rusz z wycieńczenia.

Trzynaście przystanków później, co dawało jakieś dwie godziny, wpelzłam na sam szczyt. Położyłam się na plecaku i pozwoliłam, by słońce mnie dobiło. Leżałam tak, dopóki zbłąkana chmura nie zakryła słońca, rzucając na mnie przyjemny cień. Otworzyłam oczy. Chmura okazała się górą lodową w postaci kapitana Ice'a. Uuu, powiało chłodem. Stał nade mną i jak się domyślałam, przyglądał moim „zwłokom” z politowaniem, któremu towarzyszyło trudne do ukrycia, nawet pomimo okularów, zgorzienie.

– Żołnierzu, wyglądasz jak...

– Gównu w słońcu, panie kapitanie – dokończyłam za niego. – Poleżę tu jeszcze chwilkę, dopóki muchy się nie zlecą. W końcu i tak jestem już trupem.

Zamknęłam z powrotem oczy, a on nic nie odpowiedział. Kilka sekund później ciepłe promienie znowu ogrzewały moją twarz.



Opróżniłam półtoralitrową butelkę wody i właśnie kończyłam osuszać puszkę coli, kiedy uświadomiłam sobie, że jestem z siebie niezmiernie dumna. Owszem, cholernie zmęczona i obolała, ale jednak dumna. Moje mieszkanie lśniło, pachniało i prawie nie przypominało tego syfu sprzed kilku godzin. Właśnie miałam zamiar wejść pod prysznic, gdy rozległo się pukanie, a raczej walenie do drzwi.

– Proszę! – krzyknęłam, bo nie miałam siły taszczyć swojego tyłka przez całą długość mieszkania.

I to był mój błąd.

Ośmiu chłopca wtargnęło do środka niczym burza z piorunami. Trzech z nich błyskawicznie usiadło na krzesłach przy stole, a reszta robiła za ich święte, stojąc dookoła i zasłaniając widok tymi wielkimi, napakowanymi barami.

– Jak miło – zakpiłam – ale nie lubię niezapowiedzianych wizyt. Następnym razem możecie mnie uprzedzić, upiekę jakieś ciasteczka.

Kazah parsknął. Big Boy nie podzielał mojego poczucia humoru.

– Ja bym jej wpierdolił – oznajmił, zaciskając pięści.

Na szczęście ciemnooki przystojniak siedzący naprzeciwko nie zamierzał mnie bić.

– Przestań pieprzyć! – warknął Pasha. – Słyszałeś, co mówił Ice?

Ciekawe, co powiedział kapitan, zastanawiałam się, wpatrując w przystojną, opaloną twarz szturmowca. To mogła być informacja na wagę złota. No bo jeśli rozkazał, żeby mnie nie tykać pod groźbą przerobienia im fiutów na pasztety, to mogłam czuć się bezpiecznie. Jeśli natomiast powiedział: „Nie tykać jej, chyba że wkurwi was dokumentnie”, wtedy sprawa nie przedstawiała się już tak wesoło. Weźmy na przykład takiego Big Boya. Sama moja obecność wkurwiała go dokumentnie, więc mogłam oberwać chociażby za to, że oddycham.

– Koniec z pieprzeniem. – Uśmiechnął się do mnie Pasha, kładąc przede mną świstek papieru. – Podpisz to, dziecko, i skończą się twoje oraz nasze problemy.

A już zaczynałam go lubić.

Przykryłam dłonią kartkę i przysunęłam ją do brzegu stołu.

– No, no. – Wydełam usta. – Jestem pod wrażeniem. Przy najmniej jeden w was potrafi pisać. Co to takiego?

– Twoja pieprzona prośba o przeniesienie do innego oddziału. – Pasha wepchnął mi długopis do ręki. – Podpisz.

Powiodłam wzrokiem po tych ośmiu zaciętych twarzach. Pasha, Kazah i Pietia siedzący ze mną przy stole wyglądali najgroźniej, być może dlatego, że widziałam ich z bardzo bliska. Zdawać by się mogło, że wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że powinnam podpisać ten przeklęty świstek. Z jednej strony uwolniłabym się od bandy sprośnych komandosów. Z drugiej jednak, kto wie, czy nie wpadłabym z deszczu pod rynnę. Jeśli oni byli najlepsi, jacy musieli być ci najgorsi? W innym oddziale również mogli mnie potraktować jak dwugłowe ciele. Poza tym nie po to lazałam tyle kilometrów na dół do sklepu, zmywałam, szorowałam, prawie gryzłam kafelki w łazience, żeby to wszystko poszło na marne. O nie! Uniosłam karteczkę i spektakularnie przedarłam ją powoli na pół.

Pierwszy nie wytrzymał Kokos, blondyn o elektryzujących, szarych oczach, i warknął:

- Napytasz sobie biedy, Dzidzia.
- Czujecie? – spytałam, węsząc w powietrzu.
- Ej! – Kazah pociągnął nosem. – Ale co?
- Coś tu strasznie cuchnie – rzuciłam aluzyjnie.
- Ej, tym razem to nie ja – zaperzył się Kazah, za co momentalnie oberwał po głowie od stojącego nad nim Big Boya.

Auć! To musiało boleć. Poza tym chyba się przeshyszałam, prawda?

– Słuchaj, Dzidzia, i zapamiętaj to sobie. Prawdziwi mężczyźni pachną alkoholem, tytoniem i dziwkami – uświadomił mnie wielkolud.

– Serio? Wszyscy w to wierzą? – zapytałam, patrząc na nich po kolei. Jezu, wierzyli. – Powinniście zapisać się na terapię grupową.

– Głupia dziwka – warknął Big Boy.
– Wychodzimy – zarządził Pasha. – Sama tego chciałaś – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nigdy nie będziesz taka jak my. Powinnaś skończyć jak reszta tych bezmózgich śpiących.

I znowu ci śpiący. Kim byli, do cholery? I skoro klasyfikowali mnie jako jedną z nich, to nie mogłam być martwa. Naprawdę wolałam być śpiącą niż martwa, nawet nie wiedząc, co to oznaczało.

Maszerowali równym, wyćwiczonym krokiem do drzwi, krzycząc jeden przez drugiego.

- Zadarłaś z nieodpowiednią ekipą!
- Lepiej, żeby cię tu nie było, kiedy wrócimy!
- Pieprzona dziwka!
- Zjemy cię żywcem!

Wreszcie ostatni z tych samców walących na kilometr testosteronem opuścił moje mieszkanie. Podbiegłam do drzwi, żeby się na nich wyładować i zamknąć je z trzaskiem. Zdążyłam się zamachnąć, gdy w progu pojawił się kapitan. Wyhamowałam w ostatniej chwili. Zmierzyłam go całego z laboratoryjną dokładnością. Miał na sobie czarną koszulkę mocno opinającą jego umięśnioną klatkę i bicepsy oraz luźne spodnie, których nogawki wcisnął w ciężkie buciory. O ramię opierał karabin skierowany lufą ku górze i przyglądał mi się zza ciemnych szkieł, ukrytych pod daszkiem patrolówki.

– Żołnierzu. – Sięgnął do kieszeni spodni po paczkę papierosów.

– Kapitanie – powiedziałam dziwnie brzmiącym głosem.

Nie wiedziałam, czy powinnam zaszutować, stanąć na baczność, czy może zrobić coś jeszcze innego.

– Nie trzeba ich odpowiednio nastawiać przed walką. To zawodowi mordercy. Żądę krwi mają w genach. – Wpakował sobie fajkę do ust.

– Chciałam tylko odpowiednio ich zmotywować – stwierdziłam z miną niewiniątka.

Spojrzał w bok. Idąc za jego przykładem, wychyliłam się zza drzwi i zerknęłam w to samo miejsce. Oddział Bad Boysów stał na zewnątrz, ciskając „kurwami” i innymi epitetami pod moim adresem.

– Zmotywować? – mruknął pod nosem kapitan. – Byłe nie za bardzo.

Cofnęłam się do mieszkania.

– Idziemy na akcję. Taka zabawa trwa z reguły dwa dni – oznajmił beznamiętnie.

– Jak miło, kapitanie, że raczył mnie pan poinformować. Przecież gdybym przez dwa dni nie widziała tych paskudnych mord, mogłabym się, nie daj Boże, zacząć o nich martwić.

– Żołnierzu. – Ton jego głosu zmienił się w zimny i odpychający. – Jeżeli się z nimi nie dogadasz, a oni zaczną przez ciebie nawalać, pozbędę się ciebie, a to nie będzie przyjemne. – Nastąpiła wymowna pauza. – Wolałbym, żeby odbyło się to jednak bezboleśnie. Rozumiemy się?

Przytaknęłam.

– Jestem masochistką, kapitanie! Lubię ból, dzięki niemu wiem, że żyję! – wyrecytowałam automatycznie.

Papieros w jego ustach drgnął. Broda mu zadrżała. Uuu... Ktoś tu się wkurzył.

– Chyba się nie rozumiemy. – Posłał mi chłodny, wystudowany uśmiech z cieniem chorej satysfakcji. – Fitz popełnił błąd, pakując cię nam do oddziału. Jednak teraz jesteś żołnierzem,

chronią cię prawa. Tak długo, jak tu jesteś, jesteś bezpieczna, więc się nie wychylaj.

– To dlatego, że jestem śpiącą, czy dlatego, że nie żyję?

– To dlatego, że jesteś anomalią.

– Anomalią?

– Wróćmy jeszcze do tej rozmowy.

Wykonał obrót na pięcie i ruszył w kierunku reszty zespołu.

Jak miałam rozumieć jego słowa? Zrezygnowałam z trzaskania drzwiami na rzecz cichego ich zamknięcia. Oparłam się o nie plecami, czując na ciele przyjemny chłód. Przymknęłam oczy. Staralam się być twarda, ale na Boga, te słowa nie spłynęły po mnie jak po kacze. Wręcz przeciwnie. Chłonięłam wszystko jak gąbka. Łzy zapiekły pod powiekami. Nabrałam głośno powietrza i po prostu się rozbeczałam.

ROZDZIAŁ 3

TORTURY

Minęły już prawie dwa dni. Całkiem przyjemne i relaksujące dni bez spotkania żadnego napakowanego mięśniaka z kompleksem ptaszka. Przeszczęśliwa siedziałam w moim salonie oświetlonym promieniami wieczornego słońca, ciesząc oczyszczonymi ścianami i wdychając zapach świeżej farby. Położyłam sobie nowo zakupiony zeszyt na kolanach i otworzyłam na pierwszej stronie. Zamierałam notować w nim wszystkie istotne informacje, tak by nic nie umknęło mojej uwadze. Pełna werwy i animuszu chwyciłam długopis, ale niestety to by było na tyle. Zapiisałam sobie kilka pojęć typu „farmakologiczna”, „śpiący”, ale to pierwsze kojarzyło mi się wyłącznie z lekami, a drugie z jakąś tajną grupą agentów. Czyli nie miałam nic. Wielkimi drukowanymi literami napisałam na kartce „DUPA” i zwieńczyłam to potężnym wykrzyknikiem.

Tak naprawdę nie wiedziałam o Comie niczego. Jak tutaj trafiamy i dlaczego? Kim są śpiący? Ludźmi, którzy umarli we śnie? A może nie umarli? Jakie są zadania wojska prócz tych określonych w broszurce enigmatycznymi skrótami? Dlaczego Lazar twierdził, że jest martwy? Dlaczego twierdził, że i ja jestem martwa? A jeśli ma rację, to jak umarłam? Kiedy wróci mi pamięć? Najgorsze, że od samego początku nie opuszczało

mnie dziwne, irracjonalne przeczucie, że znalazłam się w tym miejscu z jakiegoś konkretnego powodu, którego nie potrafię sobie przypomnieć. Chociaż alzheimer miał swoje dobre strony, mętlik był lepszy niż tęsknota za dawnym życiem, za rodziną. Współczułam Lazarowi, gdy o tym opowiadał. Ja nie miałam za kim tęsknić. Mogłam jedynie przyjąć moje nowe życie takim, jakie jest, albo starać się je zmienić na lepsze.

Wcześniej zawędrowałam na stołówkę, poznałam kucharzy Rogala i Ciacho, a także ich odpychającą kuchnię. Skorzystałam z basenu i siłowni, a po drodze zatrzymałam się przed wejściem na salę gimnastyczną. Ten widok wywołał dziwną falę wspomnień. Obrazy niczym pokaz slajdów przesuwwały się przez moją głowę, ale nie byłam pewna, czy to nie jakaś oszukana projekcja. Ja przecież nie umiałam tych wszystkich cholernie trudnych i skomplikowanych rzeczy, prawda? Salto, kołowrotek na drążku. Skąd w ogóle wiedziałam, że taka figura nazywana jest kołowrotkiem? Zrobiło mi się gorąco i przez moment nie mogłam zebrać myśli. Nie tylko nie znałam swojego imienia, ale także swojej przeszłości, co stanowiło dość istotny problem.

Wpatrywałam się w napisane przed chwilą słowo DUPA, nie potrafiąc przywołać wspomnień. Zamknęłam oczy. Nagle w mojej głowie pojawił się obraz kobiety o brązowych oczach i kasztanowych włosach. Jej ciepły głos i kojący dotyk, kiedy byłam smutna. Na następnej migawce kobieta przedstawiała sobą obraz zniszczenia. Chuda, biała twarz z zapadniętymi oczyma i smutnym uśmiechem.

– Mama – szepnęłam.

Siedzę w białej sali, przy szpitalnym łóżku. Wychudzone, blade ciało mamy jest wycieńczone chorobą, ale mimo

wszystko ona cały czas promieniuje jakąś wewnętrzną radością i siłą. Do samego końca, taka dzielna. Wydaje mi się, że znowu tam jestem, w zielonym ochronnym fartuchu, trzymając ją za kościstą, zimną rękę i ze wszystkich sił walcząc ze łzami.

– Zajmij się Myszką – mówi słabym głosem. – Niezależnie od tego, co będą wam mówili, macie tylko siebie. Ty jesteś rozsądniejsza. Będziesz jej musiała mnie zastąpić.

– Ciebie, mamó? Przecież wiesz, że to niemożliwe. – Szczerzę się przez łzy.

– Kochanie, wszystko, co zrobiłam... robiłam dla was. Wybacz mi i zaopiekuj się nią.

Kiedy otworzyłam oczy, dotarło do mnie, że były to jej ostatnie słowa. Wściekałam się na siebie za to, że tak łatwo wyrzuciłam z myśli własną matkę. Teraz była to jedyna chwila z jej udziałem, jaką pamiętałam. I miałam się kimś zająć. Kim? Kim była Myszka?

Ziewnęłam i przetarłam twarz ze zmęczenia. Tyle pytań, a nadchodząca noc bezsprzecznie nie przyniesie żadnych odpowiedzi.



Okolo północy powróciło chamstwo. Śpiewali, krzyczeli, tłukli butelki i z pewnością przyprowadzili ze sobą kilka panienek. Te ostatnie darły się, jęczały, kwiczały, jakby je kto zarzynał, a nie robił im dobrze. W tej sytuacji mogłam uczynić dwie rzeczy, a mianowicie nakryć głowę poduszką i przeczekać całą tę libację alkoholowo-pornograficzną albo... Nie, w zasadzie nie było żadnego „albo”.

Niestety cały ten syf ucichł dopiero o trzeciej nad ranem. Wtedy udało mi się zasnąć. Wcześniej nie miałam nawet siły się wściekać, ale gdybym zdołała wykrzesać z siebie energię, to i tak nie urządziłabym kolegom z oddziału sajgonu czy czegoś podobnego. Broń Boże. Sajgon to oni urządzili mnie i to już następnego ranka.

Obudziło mnie mocne szarpnięcie, a zaraz potem ktoś dosłownie zwlókł mnie z łóżka. Zaskoczona, nie miałam nawet szansy zamortyzować upadku. Zanim dobrze otworzyłam oczy, trzasnęłam nosem o deski podłogi, momentalnie zalewając się krwią.

– Nie jesteś na pieprzonych wakacjach, Dzidzia! Przez ciebie cały oddział ma o pół godziny dłuższy trening. Każda minuta spóźnienia daje nam dodatkowe pięć minut pieprzonej harówki. Rusz tę swoją różową dupencję i jazda przed dom!

Dopiero teraz się odwróciłam. Nade mną stał Pasha, czyli POM – przystojny, opalony, martwy. O tak, właśnie rozbudził we mnie instynkt mordercy. Nie zna dnia ani godziny...

– Boli? – Spojrzał na mnie z udawaną troską.

Otarłam krew wierzchem dłoni i powoli zaczęłam się podnosić.

– Jasne, że boli – warknęłam, stając na nogach.

– Przyzwyczajaj się, Dzidzia. Od dzisiaj ból jest twoim najlepszym przyjacielem.

A powolna śmierć twoim, pomyślałam, ale powiedziałam coś zgoła innego:

– Cieszę się ogromnie. Jakbyś nie zauważył, jestem pieprzoną masochistką.

– Dziesięć minut. – Zerknął na zegarek. – Tyle doliczy nam Ice przez twoje paplanie, więc się pospiesz. Czas nie kutas, nie stanie specjalnie dla ciebie.

Odwrócił się na pięcie i odmaszerował, ja tymczasem pognałam do łazienki, po drodze zrzucając z siebie wojskową piżamę. Wyhamowałam dopiero przy umywalce, o mało nie wałąc głową w lustro. W pierwszej kolejności wepchnęłam sobie do nosa waciki, by zatamować krwawienie. Szczotkowanie zębów trwało nieprzepisowe dwadzieścia sekund. Musiało wystarczyć. Wbicie się w sportową bieliznę, koszulkę, krótkie spodenki i ciężkie buciory zajęło mi czterdzieści pięć sekund. Najdłużej wyszło z sikaniem, bo pęcherz po nocy miałam przepełniony. Płukanie rąk pobiło wszelkie rekordy i nie sędzę, bym pozbyła się wszystkich bakterii, ale co tam. Włosy zaczęłam wiązać w niesforny kok jeszcze w salonie, a skończyłam na schodach przed domem. Niczym Pershing wpadłam na plac skąpany w szarości rodzącego się dnia. Która, u licha, mogła być godzina? Czwarta? Piąta? Ile ja spałam?

Stałam na końcu rzędu, wołając głośno:

– Cześć, palanty, sorry za spóźnienie!

Odezwał się Pietia:

– Wiesz co, śpiąca królewno? W gówno wpada się bardzo szybko, ale ty osiągnęłaś najlepszy wynik. Masz przesrane – poinformował mnie. – Teraz będziesz umierała czterdzieści minut dłużej, dziecinko.

– Cóż, jestem w dupie, grunt, że z wami wszystkimi! – odparłam wesoło. – W końcu tworzymy zespół. Zawsze razem!

Ależ ja uwielbiałam ich wkurzać.

– Niech ktoś założy jej kaganiec! – ryknął Big Boy. – Jeszcze słowo i nic z niej nie zostanie. Zgniotę ją jak brzoskwinię. Mamusia mówiła, że kobiety należy szanować, ale mamusia pieprzyła głupoty.

– Już się zaczynam trząść!

– A powinnaś.

Gdy głęboki, zmysłowy głos dobiegł zza moich pleców, równocześnie poczułam, jak ciepły oddech muska moje ucho.

Wystraszyłam się nie na żarty. Kapitan minął mnie i zatrzymał się dokładnie pośrodku, skąd miał idealny widok na cały oddział. Obracał głowę od prawej do lewej i z powrotem, lustrując nas dokładnie. W tych momentach, w których jego spojrzenie nie koncentrowało się akurat na mnie, ja z całą mocą koncentrowałam się na nim. Spowity w czerń wyglądał drapieżnie. Włosy skrył pod ulubioną patrolówką, a oczy za ciemnymi szklami, w efekcie czego pół jego twarzy nadal stanowiło dla mnie nie lada zagadkę. *I po jaką cholere zakładają te okulary*, zastanawiałam się. *Słońca przecież jeszcze nie ma*.

Potałam ramiona. Na dworze panował chłód, a gęsia skórka już od kilku minut uporczywie oblepiała moje ciało, więc zgarbiłam się i wbiłam wzrok w Bad Boysów, nieco pochylając się do przodu. Oni, podobnie jak kapitan, mieli na sobie czarne, długie bojówki i bluzy. Tylko ja, jak taki oszołom, wyskoczyłam w króciusieńkich szortach i T-shircie. Pocieszałam się, że przynajmniej nie będzie mi gorąco podczas treningu.

– Jakiś problem, żołnierzu? – spytał kapitan.

Mnóstwo.

– Żadnego, kapitanie! – odparłam, cofając głowę.

Podszedł do mnie zdecydowanie zbyt energicznym krokiem, przez co miałam wrażenie, że chce mi przyłożyć z główki. Jedyne jednak, co mnie uderzyło, to jego silny, zmysłowy zapach. Czułam się bardzo nieswojo, kiedy tak sterczał nade mną wielki, niebezpieczny i seksowny. Zmierzył mnie powoli i zatrzymał się na dosyć oryginalnie zasznutowanych butach. No co? Spieszyłam się jak cholera.

– Wyglądasz subtelnie jak kawał gówna, żołnierzu.

– Dziękuję, kapitanie! Staram się, jak mogę!

Niezapalony papieros wystający z jego ust poruszył się w górę i w dół, a broda zadrżała. Tak, moje optymistycznie wykrzykiwane teksty musiały go wkurzać.

– Będzie bolało – powiedział z aksamitną groźbą w głosie.

– Ból jest moim najlepszym przyjacielem, kapitanie! – Uśmiechnęłam się szeroko.

Pasha parsknął. Sam mnie przecież przed chwilą poczęstował tym właśnie tekstem. Kapitan wypluł papierosa, który upadł tuż przy moich butach.

– Co z twoim nosem?

– To się nazywa kalectwo, kapitanie. Spadłam z łóżka! – Wyciągnęłam zakrwawione waciki z nosa i upchnęłam je do kieszeni spodnek.

Kapitan powiódł wzrokiem po zastępie swoich ludzi.

– Kto jej pomógł spaść z tego łóżka? – Cisza jak makiem zasiał. – Jeśli się dowiem, że któryś z was złamał moje rozkazy, to będzie żałował, że go wcześniej nie wykastrowali. Za mną!

Ruszył truchtem przed siebie, a za nim reszta drużyny. Trzymałam się na samym końcu, tuż za Colą i Masao. Bez względu na to, jak oszałamiającymi zdolnościami czy kondycją mogłabym się popisać, tutaj i tak byłyby one niewystarczające. Ile, do cholery, można biegać? Godzinę, dwie, ale nie trzy!

Przez pierwsze sześćdziesiąt minut trzymałam się nawet przyzwoicie, mimo że zbiegaliśmy w dół po stromym, zarosniętym zboczu wzgórza, gdzie ostre krzaki bezlitośnie raniły moje nogi, a gałęzie wplątywały się we włosy. Nie chciałam nawet wiedzieć, ile robactwa potraktowało mnie jak darmowy transport. Kapitan niestrudzenie prowadził nas w las. Dosłownie. Żadnych ścieżek. Wszędzie tylko krzaki, liście i chłostające badyle. Palant, pewnie robił to z premedytacją, wiedząc, że nic mnie nie ochroni przed tym badziewiem. Z maczetą

byłoby ciężko przedrzeć się przez ten gąszcz, a co dopiero bez. Teraz rozumiałam, dlaczego oni wszyscy mieli na sobie bluzy i długie spodnie. *Kretynka*, zbesztalam się w myślach.

– Płaczesz już, Dzidzia!? – drażnił się ze mną Big Boy.

– Śnij dalej! – odkrzyknęłam, wyrywając sobie właśnie kępkę włosów, która zaplątała się w klujące patyki.

– Jedyną śniącą cipą tutaj jesteś ty!

Modliłam się, żeby ten przeklęty las wreszcie się skończył. Ni z tego, ni z owego moje prośby zostały wysłuchane. Nagle po prostu zostawiliśmy te przekłete zielska za sobą i wybiegliśmy na duży, odkryty teren. Gdzie okiem sięgnąć, połacie brunatnej ziemi i jaśniejące niebo. Wiecie, jak to jest z życzeniami? Z reguły jeśli komuś się poszczęści, to ma aż trzy. Dajmy na to taka złota rybka albo dzin z lampy. W gorszych przypadkach, ale równie szczęśliwych, życzenie jest tylko jedno, jak na przykład wtedy, gdy uda nam się zauważyć spadającą gwiazdę. Niemniej obowiązuje jedna zasada co do wypowiadania swych ukrytych pragnień. Należy się dobrze zastanowić, zanim człowiek o cokolwiek poprosi, bo niefortunnie może trafić z deszczu pod rynną. Pod rynną się może nie znalazłam, ale opuściłam las na rzecz bagnistego pola – prawdziwego siedliska komarów.

Zmusiłam nogi do nadludzkiej harówki. Ciężkie buty grzęzły w błocie i nie byłam w stanie zrobić normalnego kroku, nie mówiąc już o bieganiu. Dodatkowo moje otwarte, świeże rany i zadrapania przyciągały przeklętych krwiopijców. Więcej energii marnowałam na zabijanie insektów niż gonienie za BB. W rezultacie w ułamku sekundy straciłam chamstwo z oczu. Byli i zniknęli. *Cudownie*. Nawet nie wiedziałam, czy brnę w odpowiednim kierunku. Brnę? A to dobre. Najstarszy ślimak świata wygrałby ze mną w biegu na setkę.